

№ 2
CENA 1 ZŁOT

TEATR

ŻYCIE WYTWORNE

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK III — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 2

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MOKOTOWSKA Nr. 26. TELEFON 525-85.



TREŚĆ NUMERU:





P. WŁADYSŁAWA KOSTAKÓWNA, „MISS POLONIA",
laureatka konkursu na najpiękniejszą Polkę w toalecie z firmy Bogusław Herse



NA BOK PIÓRO! NIECH ŻYJE MASZYNA DO PISANIA!

MAŁY REMINGTON



Czy to przy pracy swej zawodowej, czy to przy pracy na polu naukowem lub społecznem, życie zmusza Pana wszędzie do ujęcia pióra; niewątpliwie prowadzi Pan również i rozległą korespondencję prywatną?

Po co tracić czas — po co tracić siły na pisanie piórem, gdy posiadamy niezwykle wydajną w pracy maszynę do pisania

MAŁY REMINGTON



MAŁY REMINGTON

JEDNOCZEŚNIE Z ORYGINAŁEM WYPISUJE JEDNĄ LUB KILKA DOKŁADNYCH I CZYTELNYCH KOPJI.

MAŁY REMINGTON

JEST TAK MAŁY, ŻE MOŻNA GO WSTAWIĆ DO SZUFLADY W BIURKU, LUB NA PÓŁKĘ Z KSIĄŻKAMI.



MAŁY REMINGTON

TO PRZEDMIOT CODZIENNEGO UŻYTKU DLA KAŻDEGO, KTO IDZIE Z POSTĘPEM I ROZUMIE WYNIKAJĄCE STĄD DLA NIEGO KORZYŚCI.

Tow. BLOCK-BRUN, Sp. Akc.

WARSZAWA HOTEL BRISTOL

ODDZIAŁY:

KATOWICE, KRAKÓW, LWÓW, ŁÓDŹ, POZNAŃ, WILNO, GDAŃSK.



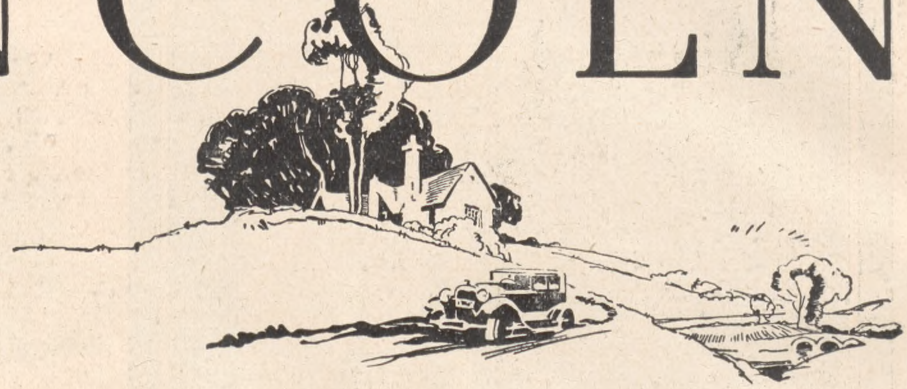
Wszędzie . . .

gdziekolwiek spojrzymy . . .
na słynnych Wall Street, Polach Elizejskich, czy też Trafalgar Square spotykamy wytworne Chevrolety. Są to ulubione wozy ludzi ze sfer zamożnych.

Chevrolety wytrzymują porównanie z najbardziej luksusowymi samochodami, wykonanymi na specjalny obstalunek klijenta. Siła, szybkość, komfort i elegancja wyróżniają te wozy o niewspółmiernie niskiej cenie i umiarkowanych kosztach utrzymania.

GENERAL MOTORS W POLSCE

LINCOLN

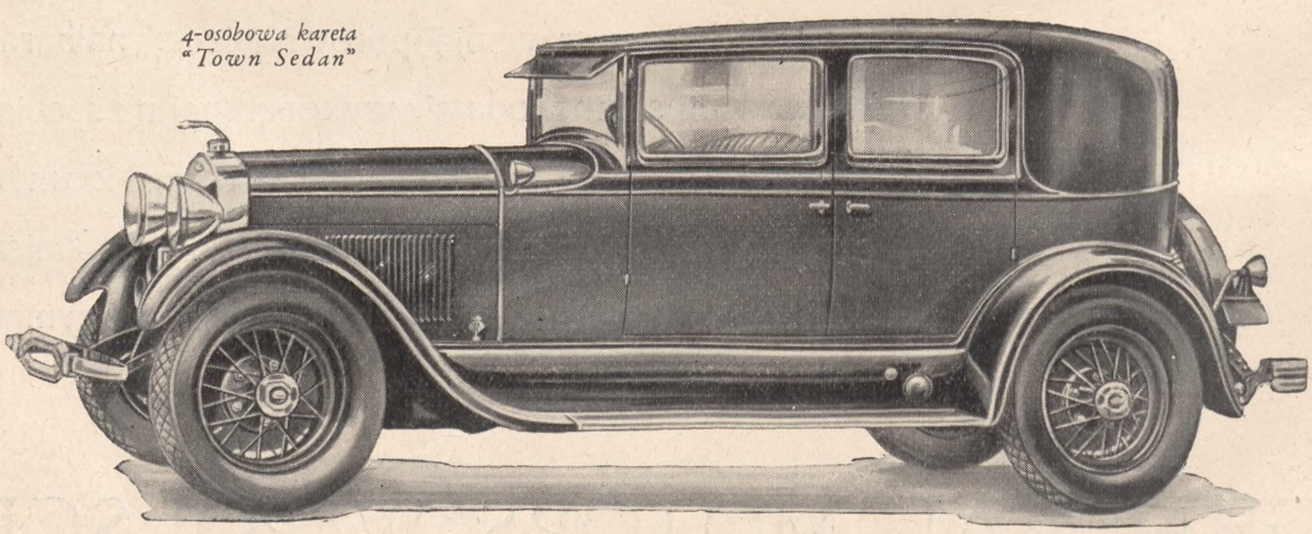


KAŻDY znawca samochodu, gdy po obejrzeniu Lincolna dowie się jego ceny, będzie mile zdziwiony, że nie wynosi ona znacznie więcej. Wistocie, gdyby Lincoln nie był produktem organizacji Ford Motor Company, niewątpliwie cena jego byłaby o wiele wyższa, ponieważ jest on w każdym szczególe wozem wysokiej klasy, zbudowanym z najlepszych i jaknajstaranniej dobranych materjałów w sposób, zapewniający zarówno komfort, pewność jazdy i moc, jak i łatwość kierowania samochodu i utrzymania go w porządku.

Cena Lincolna nie jest istotną miarą jego jakości, lecz wyrazem specjalnych metod produkcji Ford Motor Company i licznych własnych źródeł surowców, umożliwiających sprzedaż Lincolna po stosunkowo niskiej cenie.

Ponieważ wóz ten jest w granicach możliwości zbliżony do perfekcji, fabryka nie wypuszcza t. zw. "rocznych" modeli. Zmiany w zasadniczej konstrukcji są zbyteczne, wrazie zaś wprowadzenia jakiegokolwiek udoskonalenia, każdy właściciel Lincolna ma możność zastosowania go w swym wozie.

4-osobowa kareta
"Town Sedan"



ODDZIAŁ LINCOLN · FORD MOTOR COMPANY

Teatr i Życie Wytworne

ROK III — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 2

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MOKOTOWSKA Nr. 26. TELEFON 525-85.



OKIŚĆ — *Fot. Fox*

ANTONI WYSOCKI

GABRJELA ZAPOLSKA O «SCENACH NIEZALEŻNYCH»

KILKA WSPOMNIEŃ

Piętnaście lat mija od czasu założenia, a dwanaście od zgonu stowarzyszenia Teatr Niezależny we Lwowie. Nie wiem, jakby teraz było, ale wtedy w pracy tego teatru współdziałali wszyscy zamieszkali we Lwowie literaci i cała prasa. Dzienniki nietylko, że zamieszczały repertuar, komunikaty i sprawozdania z przedstawień, ale przed przedstawieniami feljetony literackie z omówieniem zapowiedzi i zamierzeń, czy to urządzanych przez stowarzyszenie publicznych dyskusji, odczytów o istocie dramatu, czy wreszcie pierwszej w Polsce wystawy teatralnej.

Ale najserdeczniej temi rzeczami interesowała się p. Gabrjela Zapolska. O ile nie chorowała, miała czasu do zbytku, bo swej pracy literackiej poświęcała w ciągu roku ledwie po kilka, kilkanaście dni. Dramat „Tamten" jeszcze w Krakowie, pisała dziesięć dni, komedję „Moralność Pani Dulskiej" osiem dni, komedję „Skiz" niecały tydzień. Ochotnie, ofiarnie, z entuzjazmem, który okazywała dla każdej dobrej sprawy, pomagała pracy Teatru. Uczestniczyła w redakcji scenicznej skryptów „Uczty", Platona i „Wieczorów florenckich" Klaczki, w próbach gry, w komponowaniu kostjumów i dekoracji.

Rok przedtem, z daleka, przebywając w miejscowości kąpielowej Morszyn w Małopolsce Wschodniej, w jednym z swych przygodnych feljetonów, pod tytułem „Przez moje okno" wypowiedziała swe wrażenia.

— — — — — — — — — — — — — — —

„...Jeszcze przez moje okno, to Morszyńskie, z którego patrzyłam, jak zaczęły płakać drzewa za nieistniejącem już a umarłem latem, zaczęły płakać złotą liści ulewą łez — doszła mnie wieść pocieszająca, wieść sprawiająca mi przeogromną radość. I tem mi była milsza i droższa, że już niespodziewana, że zdawało się, iż nie przyjdzie nigdy, że należy do rzeczy tych, które skonały przytłoczone, zabite i nie mające siły, aby odrzucić kamienie, walące się w stronę ich kołysek, które potęgą kołtuństwa z rozkosznym chichotem przetwarzała w kształt trumny o doskonale wbitych i silnych ćwiekach.

A była to wieść, że we Lwowie, w tym Lwowie, który zdaje się oddychać tylko zgniłym wyziewem kawiarni lub drgającym terkotem filmów kinematograficznych — żyje człowiek, który pozwolił swej duszy ukołysać się i rozwinąć w takt sennych jakichś marzeń o sztuce... Zwrócony głównie i przeważnie w stronę piękna, umiłował głównie jego plastyczną stronę w formie sceny. W milczącym umiłowaniu temu pozwolił kształcić się i rozwijać... Spróbował sił po raz pierwszy, wyprowadzając na widownię jedną ze sztuk Walewskiej — tej niepospolitej, trochę zakochanej w sobie samej duszy, — lecz zakochanej tak pięknie i tak owocnie, że jej się za to raczej wdzięcznym być winno.

Następnie już zwrócił się do rzeczy bardziej plastycznych, nieznanych, i z całym trudem, wysiłkiem, pieczołowitością, dał przedstawienie sztuki Kozickiego, ciekawy eksperyment, w którym czuć jest troskę, o to, aby beztroską się trud obmyśleń stawał.

I wreszcie przyszedł na scenę z Norwidem, rozchylił zasłonę po to, aby zakwitł czarujący kwiat sentymentu najprzedziwniejszego i najwytworniejszego z naszych pisarzy przed oczyma tych, którzy już umieją wyczuć, według samego Norwida ów „chemiczny rozkład nie żywych słów" — i potrafią być wdzięczni snom za sen, i zrozumieć przyczynę snu właśnie".

— — — — — — — — — — — — — — —

Dalej mówi Zapolska o Teatrze Niezależnym pod adresem jego założyciela i kierownika „który zatroszczył się o to, aby nietylko *gromada* miała pewne zajęcie swych myśli i czasu, lecz aby i *garstka*, znalazła swój *moment wytchnienia*.

Następnie wspomina o pierwszej „scenie wolnej" w Paryżu.

— — — — — — — — — — — — — — —

„...Lata już minęły, gdy w Paryżu, na wzgórku Montmatre, w fatalnej, ohydnej, ubogiej salce Elysee Montmatre jakaś trupa, złożona z amatorów, którzy pojęcia o usankcjonowanej grze nie mieli, pod egidą Andrzeja Antoine, ubogiego urzędnika gazowni miejskiej, dała pierwsze przedstawienie Sceny Niezależnej (Theatre libre). Straktowano ich jak należało. Pogardzono, wyszydzono albo wyśmiano. Jakimi wysiłkami doszło to przedstawienie do skutku, nie zatroszczył się nikt. Jaki tam ból musiał pochwycić te entuzjastyczne skromne dusze, które nie szły po rozgłos, ale z miłości do sztuki czystej w formie i treści. Gdy mi później opowiadali, Antoine i oni, ci pierwsi jego współpracownicy, te rozczulające wysiłki, te ofiary poprostu ze strony ich ubożuchnych kieszeni — podziw ogarniał i wielki bezbrzeżny szacunek dla nich, że nie zwątpili i że mimo wszystko szli dalej przebojem, oni czyści w intencji i czynie, wśród stadnych zwierząt głodnych, sprzedajnych, a więc łaskotliwych wrażeń. I ta właśnie czystość intencji i piękna linja Antoine'a i jego gromadki, sprawiła, że nastąpił przełom. Prasa zaczęła interesować się i z początku łaskawie, a potem już z całym zapałem wzięła w obronę jasność pięknych uniesień. Doskonali pisarze przyszli z pomocą swych dzieł. Pierwszorzędni artyści uznawali za zaszczyt, skoro dozwolono im brać udział w współgrze.

Gdy przybyłam do Antoine'a dla grania w Simone Gramonta, zastałam na czytanej próbie Emila Zolę, Goncourt'a, Catulle Mendez'a, Kamila Lemonier, Masseneta i cały tłum innych wielkości, uszczęśliwionych, że dozwolono im zajmować się w ubogich salkach na Rue Blanche. Pomiędzy nimi Antoine prowadził swe dzieło z tą wielką siłą jakąś, oddziaływującą hypnotycznie na tłumy. Wszyscy go już słuchali, wszyscy mu ulegali, bo był to człowiek idei, nie handlarz swej wiedzy i miłości dla sztuki. I nikt nie pytał Antoine'a „dlaczego pan to robi"? — Dlaczego wyrywa swe nerwy, siły, środki, młodość, aby dać co miesiąc, co kilka tygodni, przedstawienie na którem z widowni te myśli, które mają prawo, aby, jak mówi czarująco Norwid, „nadlecieć na widnokrąg", biły skrzydłami o serca i dusze widzów. Społeczeństwo francuskie w lot zrozumiało przyczynę powstania sceny niezależnej. I Theatre Libre prędko systemem abonamentowym zyskał podstawę istnienia. Co rok, na jesieni, Antoine, obmyśliwszy w swem schronieniu w Bretanji pracowicie cały program, rozsyłał uwiadomienia do tych, o których wiedział, że się prawdziwie teatrem interesują. I rozpoczynała się procesja abonentów.

Lecz razem z powodzeniem rosły wymagania Antoine'a. Nikt pojęcia mieć nie może o pięknie, dokładności wystawy i inscenizacji. Takie wystawienie „Hanusi" Hauptmanna, kosztowało do osiemdziesięciu tysięcy franków. W „Tkaczach" statystowało trzysta osób. Prób było sześćdziesiąt. Dlatego, aby nas nie męczyć, zaangażowana była druga trupa, która nas zastępowała na pierwszych próbach dla ułożenia sytuacji. Przepych i doskonałość szczegółów była zdumiewająca. Najpierwsi malarze i rzeźbiarze brali udział w obmyśleniu dekoracji i efektów. Nad jedną chwilą i jednem słowem intonacją, światłem, linją, gestem, naradzano się godzinami. Tam pulsowała dusza Sztuki, tam rozważało się konieczność scenicznego piękna, tam było się razem z Antoine'm... człowiekiem idei.

I wszystko niosło pomoc temu człowiekowi. Prasa, umysły wyższe, publiczność — wszystko utworzyło jakby rusztowanie, na którem dźwigała się nieskalana doskonałość widowisk coraz wytworniej tonowanych, coraz w doskonalszej podawanych szacie i nastroju.

I wszystko to miało początek tak ubogi. Tak biedny,

że owa „kanapa", którą pożyczała szwaczka Bacrey, grająca jedną z ról w pierwszem przedstawieniu teatru Antoine'a, i która była jedynym przedmiotem zbytku tego przedstawienia, przeszła do stanu legendy, otoczonej jakimś porywającym za serce pietyzmem.

Tak było w Paryżu przed laty.

Dziś Antoine jest dyrektorem „Odeonu", sceny rządowej, — ma do dyspozycji subwencje Rzeczypospolitej, jest kawalerem Legji, daje spektakle zdumiewające cały Paryż. On biedny urzędniczek gazowni, który, jak sam mi szczerze i prosto opowiadał, edukację swą literacką odbywał podczas służby wojskowej w Afryce, z łaski jakiegoś pułkownika, który mu kazał oczyścić z kurzu swoją bibljotekę. Tam Antoine dowiedział się o tem, że mogą się ziścić sny, że miraże poetów mogą przybrać formę i stać się widzialne i ukochane.

Tak było w Paryżu przed laty.

A teraz, we Lwowie, dźwiga się coś z poziomu i jakby drżącą latarkę ktoś zaświecił mglistej, jesiennej nocy. — Wystawienie „Nocy tysiącznej drugiej" Norwida, było dziełem doniosłej wartości. Teatr Niezależny kazał przez czas jakiś poruszać się warstwom śpiącym i otworzyć szeroko oczy i uszy na wieść, że mamy Cud twórczy, że jest Wyspiański przed Wyspiańskim, że jest Skarbiec, do którego się włamano i szarpano zeń najcudniejsze klejnoty, aby je przefasonować do codziennego użytku... Z jaką radością tłum powinien był pochwycić to imię „Norwid", po raz pierwszy tak jawnie i otwarcie podane ogółowi. Wszak ta duma narodowa, ta doskonałość najczystsza, ten genjusz nad genjusze, ze swych katakumb powoli powstaje i idzie do nas czarujący i wielki. Czy jest on „sceniczny", czy „niesceniczny" to nas mało obchodzi. Jest to sceniczność Norwida i to nam wystarcza. W jego dziele jest wszystko, co może dać najbardziej wydoskonalona w szlachetności swej twórczej dusza. Tę dań kornie przyjmować należy, radośnie i wdzięcznie. Serce otwierać na przyjęcie, umysły nastrajać i doskonalić, aby wrażliwe były na wzór harf, podatnych do odczucia najsubtelniejszych dźwięków. Po raz drugi na scenie Norwid się pojawia. Raz w Krakowie ze swoim „Krakusem", drugi raz obecnie we Lwowie z „Nocą tysiączną drugą".

W zdumiewający sposób, z pewnym polotem i ładnym gestem do przedstawienia Teatru Niezależnego odniosła się prasa. Małe braki darowała, usiłowania szlachetne i pietyzm podniosła. Zrozumiała czystość intencji i piękność gestu, stwarzających wśród niepojętych poprostu przeszkód i wysiłków zaczątek wspaniałego dzieła. Odczuto, iż należy przyjść choć z moralną pomocą garstce ludzi rozmiłowanych w idealnej stronie życia, i że miłość tę i dzieło to szanować należy.

Pomiędzy stosem szarf, któremi zdobiono wieńce i kwiaty, podawane mi za życia mej działalności artystycznej, pomiędzy tą tęczą jedwabiu ozłoconego i przedziwnie zaczarowanego swą pamiątkową wartością, jest jedna szarfa blada, pastelowej barwy, a na niej napis:

Inicjatorce sceny niezależnej
jej pierwsi współpracownicy
Kraków, dnia 17 marca 1904.

To jedyny ślad, jaki został po moich usiłowaniach i ofiarności, z jakiemi lat temu dziewięć pragnęłam w Krakowie stworzyć także scenę Niezależną. Dałam cztery przedstawienia, wydałam resztki moich pieniędzy, straciłam nerwy, siły i zdrowie. I nie zostałam ani ocenioną, ani zrozumianą.

Pytano się zawsze: „Dlaczego ona to robi?" — a panie Dulskie miały głos przeważający.

I po scenie Niezależnej została tylko ta wstążka od mych współpracowników, która wraz z innemi szarfami przeznaczona jest, aby utworzyć wezgłowie w mej trumnie.

Oby Teatrowi Niezależnemu nie pozostała także tylko taka wstążka.

Kraków nie zdobył się na nic więcej.

To już od Lwowa zależy".

— — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem...

Tak w Krakowie, jak i we Lwowie, oczekiwania pani Zapolskiej nie ziściły się.

Dziś?

Po latach?

Możnaby spytać...

Warszawa?

Dotychczas prywatna inicjatywa ujawniła się w harcach „Momusa", „Nietoperza" i różnych „Czarnych kotów". I dopiero trzeba było przedstawień rosyjskiego „Krzywego zwierciadła", aby błysła myśl stworzenia sceny niezależnej. Myśl, projekt, ale też i skończyło się na tem.



Tulipany *Fot. Dorys*

KORNEL MAKUSZYŃSKI

MISS, MISKA I MISECZKA

Tak odmieniał Sienkiewicz w tych jeszcze czasach, kiedy nie było mowy o miss Europie. Kobiety żyły w owym okresie w błogim spokoju ducha i nie miały międzynarodowych zmartwień. Wybrano, co najwyżej, jakąś królowę balu, to jest tę tygrysicę, co umiała w ciągu kilku godzin rozwinąć w niebywały sposób kunszt dyplomatyczny, to też kończyło się wywróceniem wątroby i rozlaniem żółci w kilku konkurentkach, aż do następnego balu. To też straszliwym stał się ten pomysł amerykański, aby mianować miss każdego kraju, poczem miss tego świata. Szatan, który w serce kobiety zasiał ziarno gorczycy i rozkiełznał utajone w jej duszy moce, wobec których burza rycząca jest cichutkiem kwileniem, nie był Amerykaninem, zakroił przeto swój interes na małą skalę, choćby ze względu na ograniczoną ilość kobiet, reprezentowanych przez jedną sztukę. To jednak, co wymyślił Amerykanin, poszukujący do filmu premjowanych piękności, jest czemś arcydjabelskiem. Świat układał się po wielkiej wojnie do jakiego-takiego spokojnego snu, jak ocean po okropnej burzy, gdy wtem hasło: — Szukajmy najpiękniejszej kobiety świata! — powiało, jak trąba powietrzna od Wschodu na Zachód. Rozpętała się nowa wojna, wprawdzie bezkrwawa, lecz równie zgiełkliwa; poszedł w ruch sprawny aparat dyplomatyczny, rozsierdziły się gazety, rozdzwoniły się serca, rozgorzały dusze. Byle gęba, jako tako ludzka, damska oczywiście, każe z siebie robić konterfekt i pokazuje go miljonom ludzi, a miljony ludzi, szałem opętanych, zaczyna walkę podjazdową. Z konterfektu fizjognomji nie można poznać, oczywiście, że dama ma nogi w kabłąk, albo odwrotnie, nie widać, że łopatka lewa nie wie, dokąd mierzy prawa, nie da się odcyfrować liczba zębów i nie można rozpoznać, czy przyszła miss nie żyje przypadkiem na szerokiej stopie, t. zw. podolskiej? Wiele, wskutek tego, rodzi się potem zawodów, klątw i złorzeczeń. Wprawdzie sędziów, którzy mają orzec o bezbłędnej piękności, nie wybiera się z Instytutu dla ociemniałych, ale wiele się marnuje drogiego czasu i mniej cennego entuzjazmu ludzkiego, zanim się wybierze złote ziarna z malowanych plew. Gdybym był — nie daj, Boże! — panienką, to nawet z moją gębą, na której widok niewinne dzieci dostają czasem konwulsji — zaryzykowałbym udział w takim konkursie piękności. Stracić nic nie można, a nawet bez zwycięstwa zyskuje się bardzo wiele; przedewszystkiem jest się wydrukowanym i namalowanym w gazecie. Mundus vult decipi, przeto znajomi mówią z szacunkiem o najbardziej zjałowiałej gębie: «jednak w niej coś musi być!» Jeśli przytem gęba jest sprytna i ma wielu znajomych, może wycyganić kilkaset nawet głosów i zostaje gębą patentowaną, chociaż nie dojdzie przed zgromadzenie srogich sędziów. Nie jest to karjera zupełna, ale już to coś jest.



Królowa Marja Stuart, wzór urody klasycznej
(Ze starożytnego sztychu angielskiego ze zbiorów p. S. S.)

Wyrok ostateczny bywa zazwyczaj szczęśliwy, Miss Polonja jest śliczną dziewczyną, więc daj jej, Panie Boże, zdrowie. Nie o to idzie, lecz o epidemję. Teraz każda dziewoja powiada do swojej dziewiczej duszy: «udało się jej, dlaczego mnie się niema udać?» Stało się to początkiem niezgodnego partykularyzmu, bo od czasów wyboru pięknej Polki w Warszawie, co drugie miasto ogłasza, że na własną rękę, czy też na własną wieżę ratuszową, wybierać będzie swoją piękość. Ha! Wybierać będzie Lwów, już wybrało Zakopane, inne miasta czynią przygotowania.

Lwów jest w swojem prawie, bo rzeczą jest ogólnie wiadomą, że na całym obszarze Rzeczypospolitej niema piękniejszych kobiet. Co prawda, to prawda. Mężczyźni są okazali, przystojni, zgrabni i czarujący. Dość spojrzeć na mnie, który stamtąd się wywodzę; posiadam wprawdzie nieznaczne odchylenia od tego doskonałego typu, ale je zaledwie można zauważyć, wątpię bowiem, czy kogo może


LOUIS DE BARY
Louis de Bary
Vintage
VINTAGE
Louis de Bary
GRONOWSKI

razić łysina lub obie lewe nogi. Kobiety jednak lwowskie są arcywzorem, są nieskazitelnie piękne. Są to istoty, zbudowane przedziwnie harmonijnie, bo tam u nas, na kresach, nie robiono niczego nigdy na patatajkę, lecz solidnie i wzorowo. Spojrzenie mają jasne i czyste, przedewszystkiem zaś posiadają to, co jest słonecznym promieniem w urodzie kobiecej: uśmiech. Takiego uśmiechu nie ma nikt na świecie. Kto nie wierzy, niech jedzie do Lwowa i zobaczy, a jak zobaczy, powróci z żoną. Należy jedynie dla spokoju sumienia uprzedzić entuzjastów, że kobieta lwowska jest mocna i przedsiębiorcza i kiedy — uśmiechając się — czasem w pysk dać raczy, to wtedy się łacno pojmie, skąd pochodzi rezolutność kresowych ludzi.

Lwów tedy ma wszelkie prawa do upominania się o miejsce dla swoich cudownych kobiet. Ale Zakopane? To jest obrzydliwy humbug. Wybrano tam dwie urocze panie i cóż? Jedna podobno pochodzi z Warszawy, a druga, naprawdę piękna pani, pochodzi z Płocka. Po co się tedy stroić w cudze piórka? Przed rokiem Królową piękności Zakopanego została wybrana Lwowianka. Więc jeszcze jedno szachrajstwo.



Wzór urody współczesnej, Alicja hr. Rzyszczewska, wice-miss Polonia. Suknia z pracowni „Ludwika"

Ale to nic. Mnie przeraża wzgląd inny. Co to będzie, kiedy wybory staną się powszechne i każde miasto i miasteczko swoją wybierze władczynię? Jak się ją będzie mianowało? Przecie już śmiesznie wygląda takie zestawienie: «miss Zakopane», już raczej powinno się pisać i wołać: «miss Gubałówka» — «miss Kopa Magóry» — «miss Olcza» — «miss Jaszczurówka» — «miss Wąska Przełęcz» — «miss Łysa Polana» — «miss Hala Gąsienicowa» — lub coś w tym rodzaju, bo miss Zakopane nie ma wiele sensu, jak zresztą i całe Zakopane ma go też niewiele. Co to jednak będzie, jeśli swoją miss wybiorą na ten przykład Brody? Albo stary Sambor? Albo Szczawnica? Ha! A «miss Poronin» — czy to brzmi wytwornie?

Wobec decentralizacji tego pomysłu może się też zdarzyć, że tak, jak Paryż wybiera jedną królowę i kilka królowych dzielnicowych, zechce to też uczynić i Warszawa. Musiałoby to doprowadzić do pewnych zabawnych nieporozumień, nie widzę bowiem powodu, aby poszczególne ulice nie miały swoich patronek. Jako tako może wtedy brzmieć tytuł: «miss Piękna» — «miss Złota» — «miss Jasna» — «miss Srebrna» — «miss Hoża», ale już nieco gorzej: «miss Twarda» — «miss Grzybowska» — «miss Gęsia» — «miss Cebulna» — «miss Śliska» — a już skandalicznie brzmiały by tytuły: «miss Wspólna» — «miss Niecała» — «miss Bagno».

Nie należy zatem przesadzać i trzeba zachować pewną miarę w mnożeniu godności. Wybrano jedną, miss Polonję, co powinno wystarczyć na nasze potrzeby, zgóry zapowiadam, że nie uznam panowania pięknej osoby, która się nazwie «miss Pływia».

Na przyszłość należałoby ustalić kanony, wedle których ułożonoby regulamin wyboru. Teraz obiera się i koronuje piękności wedle europejskich żądań i wedle nowoczesnego szablonu, w rezultacie wszystkie premjowane

„F A N T A Z Y"
czyli
„NOWA DEJANIRA",

dramat Juljusza Słowackiego w teatrze Narodowym. Reżyserował Juljusz Osterwa, dekoracje Wincentego Drabika.

Dobrze się stało, że teatr Narodowy wystawił „Fantazego". Nietylko dla tego, że »Fantazy" jest w naszej literaturze jednem z celujących dzieł dramatycznych. Oprawa sceniczna, rozumna reżyserja i celowo wyzyskany wysiłek zespołu aktorskiego, uczyniły z „Fantazego" widowisko wzniosłe i estetyczne zarazem.

Po błahej komedjowej roli w „Bracie Marnotrawnym" przypomniał się Osterwa Warszawie w roli Fantazego, roli dostępnej wybranym tylko artystom. Zarówno odtworzeniem roli Fantazego, jak i reżyserją sztuki dowiódł Osterwa, że w swoim zakresie nie ma w Polsce sobie równego.

Doskonałą partnerkę miał Osterwa w osobie Solskiej-Grosserowej, której kunsztowna dykcja winna być wzorem dla młodszego pokolenia aktorów.

Oprawa dekoracyjna Drabika, odpowiadająca w zupełności nastrojowi sztuki, pod względem malarskim jest bardzo bliska doskonałości. Przy tej okazji podkreślić należy sprawność techniczną teatru Narodowego, który efektami świetlnemi doskonale uwydatnił piękno dekoracji.



Juljusz Osterwa



Majdrowiczówna i Halska



Ludwik Solski





Hanna Daszyńska, córka Marszałka Sejmu, wice-miss Polonia

piękności są do siebie podobne, jak śliczne orchideje, różniąc się między sobą jedynie barwą oczu i kolorem włosów. Gdyby jednak zwracano uwagę na bardziej specyficzne cechy urody, każdej nacji przyrodzone, konkurs powinien wyglądać inaczej. Angielka powinna olśnić zgromadzenie ilością piegów i winna wyglądać, jak indycze jajo; Francuska powinna mieć żołądek wielkości portmonetki; Niemka powinna mieć szerokie, płaskie nogi i rodzić dzieci na każde żądanie komisji; Hiszpanka zdałaby egzamin, gdyby samym spojrzeniem ugotowała jajo na miękko; Węgierkę powinno się ochrzcić, a jeśliby nie krzyczała, tedy znaczyło, że jest autentyczną, należy bowiem wziąć pod uwagę powiedzenie, że oprócz prymasa, niema tam większej ilości katolików. Dla każdego narodu znalazłaby się odpowiednia próba ognia i wody. Dla Polek trzebaby wznowić doskonałą próbę, którąby nazwać można próbą: orzecha i chleba. Prawdziwie polski typ nie powinien być orchideją i pięknością wychuchaną, lecz odpowiadać wybornej recepcie Sienkiewiczowskiej; ze względu przeto na zdrowie ogólne i na przyszły materjał żołnierski, Polka patentowana powinna po pierwsze: usiadłszy znagła na ławie, zmiażdżyć na proch przygarść laskowych orzechów, po drugie: powinna, jak owe dziewoje z Lubelskiego, o których mówi ze szczerem uznaniem Zagłoba, przytknąć do piersi blady bochenek chleba, który się w tej chwili ma zarumienić. Jest to próba wyborna i góry i dołu, próba zdrowia, siły i temperamentu. Ta, która tego dokaże, będzie miała z pewnością i liczko słodkie.

Wątpię, niestety, czy taki dzielny typ zdobyłby uznanie powszechne w tych chuderlawych czasach. Nie można nawet i marzyć o tem, kiedy to kobieta i siedzieć nie ma tak bardzo na czem i z przodu przypomina deskę do prasowania; z tyłu dekolt, z przodu dekolt, a między tem trochę crêp de chine'u, na całą paradę.

Rezygnując tedy z należytym smutkiem z tej wygórowanej skali, mamy jednak prawo stawiania skromnych żądań; godzimy się na współczesną fizyczną strukturę kobiecą pod tym jednak warunkiem, aby w roli sędziów występowali nietylko rzeźbiarze, malarze i kinematograficzni kręciciele, lecz



P. Stanisława Śnieżkówna, słuchaczka Uniwersytetu Jagiellońskiego jedna z kandydatek krakowskich do tytułu „miss Polonia"
Fot. Z. Garzyński

i ludzie, mający jakie takie stosunki ze sprawami ducha, z żywą inteligencją i z polotem wyobraźni. Prawdziwą, najautentyczniejszą pięknością kobiety jest nie łydka którą można zmierzyć, ani pierś, wartość bezwymiarowa, ani kolor oczów, ani ilość zdrowych zębów; o uroku nieprzepartym, o anielskim wdzięku nie można się dowiedzieć z wymiarów, mieszka on w spojrzeniu, rodzi się w uśmiechu, kwitnie na ustach z całej kobiety promieniuje słodkim, nieuchwytnym, drżącym promieniem. Nie ta kobieta jest piękna, która ma pępek w tem samem miejscu, gdzie go ma Wenus Milońska, lecz ta, która ma duszę, jak kwiat. Jeśli ta dusza wygląda złotym promieniem przez oczy, jeśli twarzyczkę, nawet niezbyt piękną, prześwietla, jak lampa alabastrową urnę, jak cudowne słowo szarą książkę, wtedy ta kobieta staje się wśród pięknych najpiękniejszą.



Marjan Hemar, młody utalentowany literat, którego komedja „Dwaj panowie B." w teatrze Polskim spotkała się z jednogłośnem uznaniem krytyki

Jest jedna próba niezawodna, kiedy się widzi jakby w objawieniu największe i najwyższe nasilenie kobiecego uroku; jest taka jedna chwila, kiedy się kobieta staje podobna do anioła, taka, chwila, która z niej czyni najcudowniejsze stworzenie świata; wtedy należy ją sądzić, wtedy prawdziwa i niefałszowana świeci się w niej piękność, wtedy widać jej duszę w całej krasie słonecznej: jest to chwila pocałunku. Gdyby kobiety wiedziały, jak są wtedy prawdziwie piękne, nie czyniłyby nic innego. Dlatego to anioły są smutne i w kwietnych swoich sercach tajemnie zazdroszczą kobietom.

Nie każdy pocałunek tak odmienia kobietę i nie każdy wydobywa z niej takie tajemnicze światło, najpiękniejsze na ziemi. Takich mistycznych pocałunków nikt trzeci nigdy nie widział, boby spłoszył zalękłą duszę, drżącą na wargach, jak motyl, dlatego więc prostego tego sposobu dowiedzenia się, która kobieta jest najpiękniejszą kobietą świata, niestety, zastosować nie można. Na nicby się nie zdało użycie go przez komisję sądzącą, wątpić bowiem należy, czy kandydatka na miss, dotknięta ustami przez kosmatego rzeźbiarza, ujrzałaby odrazu niebo. Przytem zapach alkoholu i fajki nie posiada właściwości haszyszu. Trzebaby złożyć umiejętnie sędziowski zespół ze ślicznych poruczników, z młodych poetów, a jednego ze starszych, mnie naprzykład, mianować prezesem. Ale i tak nie zdałoby się to na nic, gdyż sąd orzekłby z całą pewnością, że wszystkie kandydatki mają wewnętrzną, niebiańską piękność i wszystkie bez wyjątku, godne są królewskiego berła.

Niema sposobu! Należałoby go obmyśleć, aby do konkursów stawały nie tylko arcydzieła sztuki ornamentacyjnej, lecz i te dziewczątka nieśmiałe, nieznane nikomu, źle uczesane i ruszające się b e z g r a c j i, a jednak n a j p i ę k n i e j s z e p r z e z u r o k wewnętrzny, przez cudowną błękitność dusz i prostotę serc. Wystarczy bowiem jedno dotknięcie zaczarowanej różdżki, wystarczy jeden ciągły promień słońca, wystarczy jeden pocałunek, aby kopciuszka zamienić w taką królewnę, że świat przed nią uklęknie. Takie są w większej części polskie dziewczęta, te, co się jak malwy kryją gdzieś po wsiach, te, co ważą w sklepie karmelki i te, co sprzedają nici. Te się jednakże nie zgłoszą na wezwanie trąby, bo są przelękłe. Tych trzeba szukać.

Tak się jakość szczęśliwie zdarzyło, że miss Polonja przypomina te błękitne kwiatki z polskiej łąki. To też narazie jestem serdecznie zadowolony. Na przyszłość jednak pójdę sam na poszukiwanie, oczywiście za pozwoleniem żony, stwierdzonem własnoręcznym podpisem. Będę patrzył w oczy i opowiadał śmieszne i rzewne bajki: która się najpiękniej uśmiechnie, dostanie kreskę, która zaś i zapłacze napiękniej, ta zostanie królową. Trudniej bowiem stokrotnie jest płakać pięknie, niż pięknie się śmiać.



„DWAJ PANOWIE B",

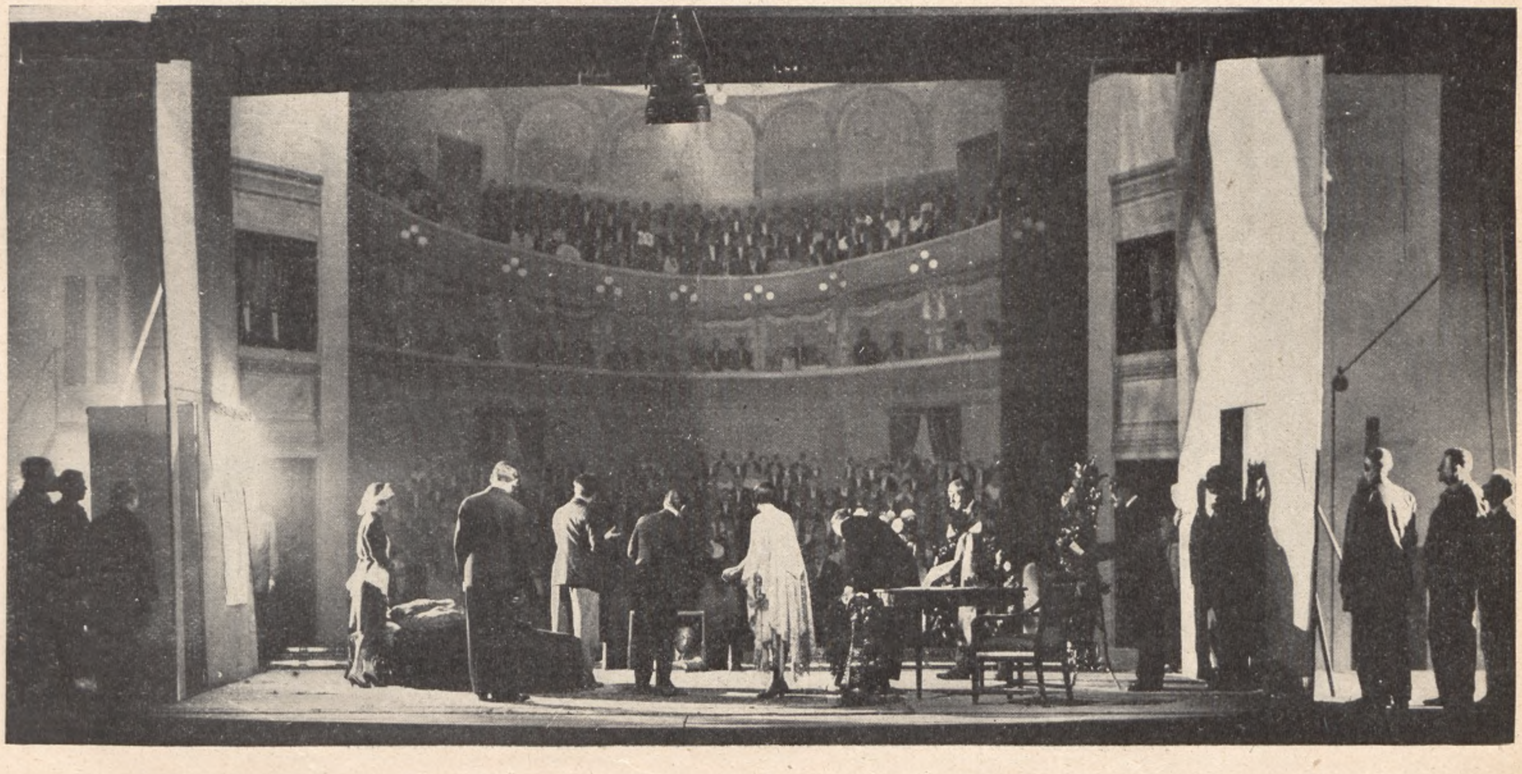
komedja w 3-ch aktach Marjana Hemara w teatrze Polskim. Reżyserował Karol Borowski, dekoracje Karola Frycza.



Debiut komedjopisarski Marjana Hemara poprzedzony był obfitą i wielce interesującą pracą dla teatru Qui-pro-quo. Sukces komedji ,,Dwaj panowie B." był zatem zgóry przesądzony. Młody autor, pełen temperamentu i sił żywotnych bez trudu uporał się ze stroną literacką swej komedji. Poważne zastrzeżenia wywołała konstrukcja komedji, w której każdy akt jest utrzymany w innym rodzaju. W pierwszej komedji Hemara jest to zjawisko ujemne, równocześnie jednak pozwala stawić najlepsze prognostyki autorowi, który z równą łatwością panuje nad stylem komedjowym, jak i farsowym.

Teatr Polski sztukę Hemara wystawił z całą pieczołowitością, dając jej obsadę wyborną. Najlepiej spisała się trójka, na swych barkach dźwigająca cały ciężar akcji: Mila Kamińska, Maszyński i Daczyński. W epizodach najlepsi — Samborski i Dominiak.

Fot. St. Brzozowski





Król Hiszpanji Alfons i dyktator Primo de Rivera na polowaniu

JULJAN EJSMOND

DOSTOJNICY, JAKO MYŚLIWI

Niebezpieczeństwa «łowiectwa wytwornego» są powszechnie znane. Wielcy tego świata nie zawsze są dostatecznie ostrożni, jako strzelcy. Nie w każdym państwie strzelec jest ulubieńcem «miarodajnych sfer».

Nieraz skutki są smutne: dostojnik strzela, a naganiacz kule nosi, jeśli wolno zmieniać przysłowia.

Spójrzmy na szereg fotografji, by się przekonać oczywiście, jak nie należy postępować z bronią palną. Przykład pod tym względem wzorowy dają nam właśnie możni tego świata.

Oto regent Węgier Horthy. Wylot lufy swej broni zatkał dłonią. Klasyczny przykład, jak nie należy trzymać broni, jeżeli się pragnie nie mieć ręki rozerwanej na strzępy. Towarzyszy regentowi prezes ministrów hr. Bethlen. Wylot jego luf skierowany jest wprost w plecy regenta. Trzeci towarzysz dostojnych myśliwych kieruje lufy ku głowie prezesa ministrów.

A teraz druga fotografja. Tym razem — w Hiszpanji. Król Alfons na stanowisku. Obok na stołku siedzi dyktator Primo de Rivera. Zdaje się, że jest to jedyny wypadek, gdy król dyktatorowi podstawił stołka. Zwykle bywa przeciwnie. Druga broń myśliwska króla stoi oparta na prawo. Mamy klasyczny przykład na tej fotografji, jak nie należy opierać broni, o ile nie chcemy, aby do jej luf dostało się ciało obce, które spowoduje rozerwanie strzelby. Ta źle oparta broń myśliwska niebezpieczniejsza jest dla króla i dyktatora od wszystkich rewolucji wojskowych.

Oczywiście nie wszyscy dostojnicy państwowi są nieostrożnymi myśliwymi. Na fotografji z Rembouillet widzimy p. Brianda na stanowisku. P. Briand zachowuje się bez zarzutu. Nie można tego powiedzieć o cywilu w białych geterkach, który znajduje się za p. Briandem i za jego strzelcem i kręci się płosząc zwierzynę. Wskutek oglądania się za siebie towarzysz p. Brianda może popsuć całe polowanie dostojnikowi, który patrzy tylko przed siebie. W kniei trzeba zachowywać się cicho i spokojnie. To nie Liga Narodów, gdzie można bezkarnie tłuc pięścią w stół i podnosić głos! W kniei trzeba mówić cicho...

* * *

Jedna jest chwila w «wielkich łowach» dostojnych gości, gdy niema absolutnie żadnego niebezpieczeństwa postrzału. To chwila myśliwskiego śniadania. «Wódka grzeje, wódka



Francuski minister spr. zagr. A. Briand ze swoimi strzelcami w Rembouillet

chłodzi, wódka nigdy nie zaszkodzi», jak mówi poeta. Pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi alkohol taki czy inny dodaje humoru i łowieckiego animuszu zwykłym śmiertelnikom i dostojnym władcom. Narodowy nasz wieszcz w «Panu Tadeuszu» wznosi się na najwyższy poziom wówczas, gdy mówić poczyna o bigosie. Śniadanie myśliwskie to niezawodny miot: tam się nie chybia! Tam korpus dyplomatyczny po większych lub mniejszych emocjach poczyna akcję decydującą. Tam niema paktów o nieagresji.

* * *

Służba łowiecka, służba ku czci św. Huberta szanowana jest przez najdostojniejszych tego świata. Premjer angielski nie waha się poczęstować huntsmana «kieliszkiem» — ku pokrzepieniu serca. Jakże dumny jest huntsman i koń i psy! Jakże pięknem będzie reprezentacyjne polowanie!

My biedni mieszkańcy kontynentu polujemy reprezentacyjnie pod grozą broni palnej — szczęśliwi wyspiarze nikogo nie postrzelą, conajmniej mogą kogoś rozjechać.

* * *

Korpus dyplomatyczny nie zawsze składa się z urodzonych myśliwych. Łowy dyplomatyczne mają pod tym względem ustaloną opinję.

Jeślibyśmy posłuchali wszystkich plotek na ten temat, mielibyśmy bardzo ciekawy materjał na kilka grubych tomów.

Mówią, że jeden z dyplomatów wystrzelał wszystkie szpaki z budek, biorąc je za... tokujące cietrzewie.

Mówią, że inny dyplomata zamiast wilka zrulował pięknego cielaka, a potem tłómaczył się, że cielak przecież szczerzył zęby, więc można było się pomylić.

Mówią, że jeszcze inny dyplomata na rozlewach wiosennych wód celnym strzałem wyrżnął do drewnianego kaczego «bałwanka», a potem spytał przewoźnika: «Ist er tod?» «Imier tod» odparł z oburzeniem z białoruska przewoźnik.

Mówią, że pewien cudzoziemiec... Lecz nie mówmy nigdy źle o cudzoziemcach. «Cudze ganicie swego nie znacie, sami nie wiecie jak polujecie»... Autochtonom przecież też zdarza się czasem to i owo...

Opowiadanie o tem, jakoby jeden z cudzoziemców widząc postrzelonego poleszuka oświadczył z żalem: «A ja nie wiedziałem, że się do tego nie strzela. Miałem takich dwóch na śliczny strzał» — należy bezwątpienia do kawałów i to do złośliwych kawałów, a przytem mało prawdopodobnych.

Gdyby bowiem ów cudzoziemiec miał «takich dwóch na śliczny strzał», gdyby istotnie «nie wiedział, czy się do tego strzela» — napewnoby strzelił.



Regent królestwa Węgier Horthy na polowaniu z prezesem r. ministrów hr. Bethlen



„Wódka grzeje, wódka chłodzi, wódka nigdy nie zaszkodzi"... Regent Horthy na śniadaniu podczas łowów

DR. WATERMAN

UŚWIADOMIENIE ESSEXUALNE

(Z przygód detektywa Muca)



Piotr Muc, detektyw prywatny, siedział właśnie w swoim gabinecie pykając nieodłączną fajeczkę, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Piotr Muc rzekł: Proszę.

Do pokoju wszedł młody człowiek, przystojny i dobrze zbudowany, skłonił się detektywowi od progu i zbliżał się doń sprężystymi krokami. Muc uniósł dłoń i zatrzymał go w połowie drogi.

«Jest pan młodym człowiekiem» — rzekł spokojnie. — «Szatynem i sportowcem. Jest pan automobilistą. Posiada pan samochód Essex-Limuzynę. Pański wóz zniknął dziś pół godziny temu w niewytłumaczony sposób. Odwiedza mnie pan w tej sprawie. Proszę mi opowiedzieć resztę szczegółów».

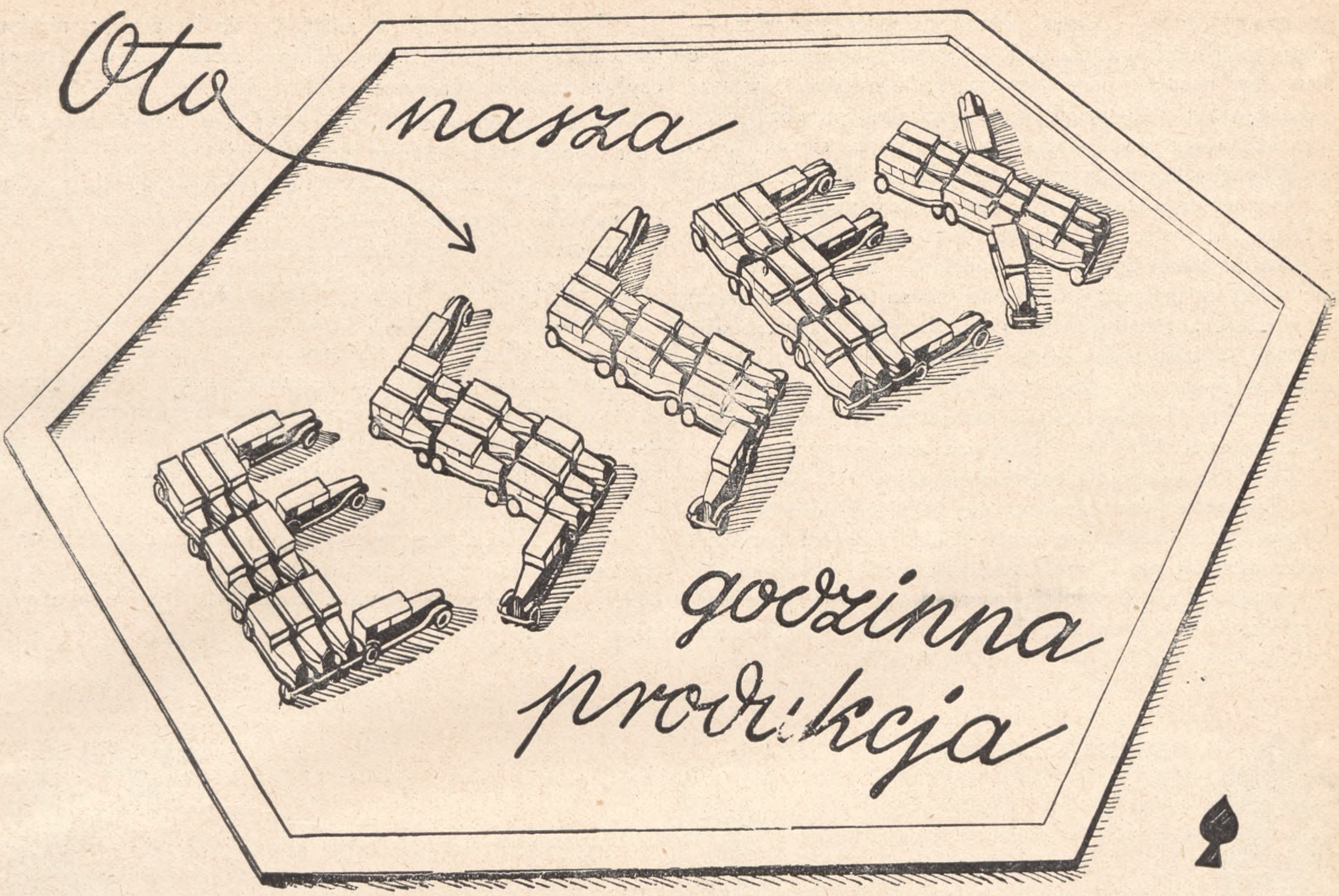
Na twarzy młodego człowieka odmalowało się zdumienie graniczące z przestrachem. Przez chwilę nie znalazł odpowiedzi, wreszcie wykrztusił niepewnie:

«Jakżeż? — skąd pan wie?»

«Rzecz jest bardzo prosta» — odpowiedział niedbale Muc. — «Trochę obserwacji — to wszystko. Powiedziałem, że jest pan młody, ponieważ wygląda pan najwyżej na trzydzieści lat. Odrazu dostrzegłem ciemny kolor pańskich włosów i domyśliłem się, że jest pan szatynem. Posiada pan zdrową, opaloną cerę, opanowane ruchy i garnitur o sportowym kroju. Naprowadziło mnie to na myśl, że mam przed sobą sportsmena. Spostrzegłem jednocześnie, że pan ma nieznaczne początki brzuszka, co wskazywałoby na to, że sport swój uprawia pan w pozycji siedzącej. Plama z oliwy na prawej pańskiej nogawce dopowiedziała mi resztę — jest pan automobilistą».

«Dotąd mógłbym wszystko zrozumieć» — odrzekł młody człowiek — «ale skąd pan wie, że to właśnie Essex?... Skąd pan wie, że to limuzyna?... Skąd pan wie, że pół godziny temu?...»

«Ubranie pańskie, jakkolwiek z lichego materjału, nie jest wygniecione. To znaczy, że wóz pański posiada siedzenie wygodne i doskonale miękkie. Tak wygodny jest tylko Essex. Poza tem lewy pański trzewik nie wykazuje wytarcia na podeszwie — to znaczy, że sprzęgło wyciska się lekko i co najważniejsza: rzadko. To znaczy, że samochód pański jest wyjątkowo elastyczny. Nie mylę się chyba twierdząc, że to Essex? Gdyby wóz pański był otwarty, zauważyłbym na pańskiej opalonej twarzy, dookoła oczu jaśniejsze koła, ślady samochodowych okularów. Niema ich,



t. zn., że pan posiada limuzynę. Niestety, już jej pan nie posiada, ponieważ przyjechał pan do mnie tramwajem—bilet tramwajowy trzyma pan jeszcze w ręku, razem z rękawiczkami».

«Ale skąd pan wie o tem, że samochód zniknął pół godziny temu? — spytał młody człowiek z zainteresowaniem — «Przecież równie dobrze zniknąć mógł wczoraj wieczorem?»

«W takim wypadku byłby mnie pan odwiedził już wczoraj — w pół godziny po zniknięciu swego wozu. Właściciel Essexu zanadto ceni swój samochód, aby mógł stracić choćby minutę w swoich staraniach o odnalezienie tak doskonałego wozu».

«Panie Muc» — odrzekł młody człowiek, po chwili milczenia — jakie honorarjum liczy pan sobie za udzielenie swej cennej porady, względnie pomocy?».



«Dwieście złotych». — rzekł Piotr Muc. — «Dwieście złotych dziennie, oraz zwrot wszelkich kosztów».

«To dużo...» zauważył młody człowiek.

«Ha!» — uśmiechnął się z wyższością detektyw. — «Jak dla kogo, kochany panie. Czas mój jest drogi. Dzisiaj, w przeciągu jednego przedpołudnia, zdążyłem rozwiązać osiem zawiłych tajemnic. Ośmiu dżentelmenów opuściło ten pokój z ulgą i szczęściem w sercu. I żaden z nich nie żałował drobnego wydatku».

«Jeżeli dobrze pana rozumiem» — spytał młody człowiek — «znaczy to, że zapłacili wszyscy»?

«Co do jednego» — uśmiechnął się niedbale detektyw.

Generalne przedstawicielstwo „HUDSEXWAY" Gdańsk Reitergasse 12-15

ZASTĘPSTWA REJONOWE

WARSZAWA – „Motor Traders", Twarda 64.
WARSZAWA – „Motofors", Kredytowa 9.
ŁÓDŹ – Hugon Strobach, Piotrkowska 154.
LWÓW – „Auto-Palais", Jagiellońska 20.
POZNAŃ – Szafarkiewicz i Menzel, Wały Wazów 22.
KRAKÓW – inż. B. Landau Podwale 5.
KATOWICE – Inż. S. Hocherman, Wita Stwosza 3.
BIAŁYSTOK – „Brosexauto", Sienkiewicza 12.

«Panie Muc» — odrzekł młody człowiek stanowczo — «jestem pełen podziwu dla pańskiej spostrzegawczości. Nie waham się nazwać pana genjuszem. Aczkolwiek w tym wypadku jedna tylko pańska obserwacja jest prawdziwa: ta, że ja jestem szatynem. Poza tem nie zgadza się nic, o co jednak bynajmniej nie mam do pana żalu. Nie jestem młody, mam lat czterdzieści pięć. Ze sportów uprawiam jedynie bilard i to w pozycji stojącej. Na prawej nogawce mam rzeczywiście plamę z oliwy, ale jadalnej. To kelner w Bristolu wylał mi majonez na spodnie. Poza tem ubranie mam z najlepszego angielskiego materjału, sprzęgło w samochodzie naciskam bardzo rzadko — raz na kilka lat — a okularów samochodowych nie noszę, ponieważ nie są mi przy bilardzie potrzebne. To zaś, co pan uważał za bilet tramwajowy, to jest rachuneczek, który będzie pan łaskaw wyrównać».

«Za co?» — spytał detektyw prywatny.

«Szanowny pan nie płaci mi od pięciu miesięcy komornego. Mój rządca nie może sobie z panem poradzić. Zapomniałem się panu przedstawić: Psztyński jestem, należy mi się tysiąc złotych. To się jednak dobrze składa, że wybrałem dzień, w którym pan jest przy gotówce, nieprawdaż».

Piotr Muc sięgnął w milczeniu do kieszeni, z niekłamanym żalem odliczył tysiąc złotych żywej gotówki i wręczył ją panu Psztyńskiemu.

«Młody człowiek» podpisał w tem samem milczeniu kwit i oddał go z ukłonem detektywowi.

«Ale, ale» — rzekł pan Psztyński chowając drogie sercu papierki do portfelu — «czy naprawdę uważa pan, że Essex posiada tak wyjątkowe zalety»?

«Niewątpliwie» — odparł ponuro Muc.

«Oddawna noszę się z zamiarem kupna doskonałego wozu — dziękuje panu za dobrą radę. Dziś jeszcze kupię sobie Essexa. Coś przecie muszę począć z pieniędzmi, których jako właściciel kamienicy, mam w istocie za wiele... Serdecznie dziękuję panu za wyborną radę. O ile pamiętam należy się panu dwieście złotych? Za udzielenie porady? Proszę — służę panu».

Piotr Muc, detektyw prywatny schował z goryczą dwa błękitne papierki, zapalił nieodłączną fajeczkę i z dużym wysiłkiem woli przestał myśleć o bardzo niefortunnej wizycie.

JANUSZ WILATOWSKI

NAD SZAFIROWĄ CIEŚNINĄ

W porcie Złotego Rogu, w szafirowej wodzie odbijają się wysokie, smukłe i białe wieżyczki minaretów. Cienie wielkich cyprysów na terasach, nad morzem, rzucają ciemne smugi na migotliwe szkliwo wody, a wielka kopuła meczetu, którą widać na horyzoncie, jest władczynią tego świata z kolorowej bajki o Śnie, Szczęściu i Wypoczynku.

Jest noc. Świeci pełnia księżyca. Migocą złote gwiazdy. Oba brzegi iskrzą się tysiącem różnobarwnych świateł, które płoną dwa razy, — tam na lądzie i tu w morzu.

Cała cieśnina jest usłana temi światełkami, jak droga wysłana bezcennemi klejnotami padyszacha, które mienią się złotem i czerwienią, srebrem i szmaragdami. Od czasu do czasu lekki powiew wiatru marszczy taflę wody, — wtedy światełka drżą, migocąc jeszcze ponętniej, jeszcze barwniej.

Z owym wiatrem płynie z obu brzegów zapach róż czy lewkonji, przesycony zaledwie odczuwanym aromatem gałązek cyprysów i tuji.

Cicho jest i pięknie, tak pięknie, że mówić o tem wydaje się grzechem, a odczuć w całej pełni nie można, choć czuje się każdym nerwem, każdym odruchem, całą duszą.

O takiej porze serca biją w takt słów szeptanych komuś — a oczy pokrywają się mgłą szczęścia, czy rozkoszy.

O takiej porze serca biją mocniej, a usta szukają ust spragnionych pocałunku, jak one.

* * *

Siedzę w kanaku wysłanym kobiercem, który haftowały twoje białe ręce i płynę bezszelestnie do ciebie.

Migocą mi tysiącem barw owe małe światełka. Odwracam zwolna głowę i widzę w mroku cyprysy twego ogrodu, w marzeniu, twoje oczy, włosy i usta. Jestem szczęśliwy. Czekasz w tej chwili na mnie na terasie swej willi z białego marmuru, w arkadach wejścia której widzę mały, jasny punkcik, błogosławiony znak, zapalony twoją ręką, znak, którego przedtem nie było, a który przywiozłem dla ciebie z daleka.

Świeci mała latarnia z chińskiego jedwabiu, wyszywanego w żółte smoki.

Jest ona dla mnie jedynem szczęściem i jedyną gwiazdą, błyszczącą dziś wśród tylu gwiazd na ziemi i na niebie.

* * *

Oto przybijam do brzegu, gdzie na mnie czekasz i daję ci naręcze kwiatów.

Są to czerwone róże o zapachu tak świeżym, tak słodkim, tak pięknym.

Oczy moje patrzą na ciebie i widzą, że to jesteś naprawdę Ty, — a kiedy ręce pieszczą twoje włosy, usta cichutko szepcą:

— Najdroższa...

* * *

Jestem u ciebie i pieszczę twoje oczy pocałunkiem. Usta twoje muskają moje wargi zaledwie odczutem dotknięciem, które przechodzi w radosne drżenie posiadania ciebie przy swojem sercu.

Tulę rozpaloną głowę do twych aksamitnych rąk, a później długo, bardzo długo patrzę ci w oczy i pytam w milczeniu, czy twoje najdroższe oczy powiedzą mi o miłości...

* * *

Noc jest gorąca. Otwieram okno, przez które w tejże sekundzie wpadają seledynowe promienie księżyca. Blada smuga tych promieni sięga wezgłowia łoża i drga na twem ciele barwnym refleksem tęczy. Jak za mgłą widać cztery lampiony zawieszone u sufitu, światło których zaledwie przenika półmrok.

Siadam u twych nóg i patrzę w okno, za tarasy, za morze, na przeciwległy brzeg, gdzie migocą czerwienią i złotem małe, tysięczne światełka.

Patrzę w dal, na tamten brzeg, za wodę i wolno zaczynam opowiadać ci bajkę... Słuchasz.

Miał bardzo piękne i smutne oczy...

* * *

Na łożu naszem leżą skóry białych niedźwiedzi — na nich rozsypałaś szkarłatne róże, które złożyłem ci w podarunku.

Nad łożem naszym w półmroku świecą cztery lampiony. Liczę je wzrokiem: niebieski, biały, szkarłatny, żółty...

A kiedy spojrzę nadół świecą mi dwie źrenice twoje, które całuję ze świętem namaszczeniem.

Zawrotnie pachną twe włosy i róże, szkarłatne róże, rozsiane twą ręką na białych skórach.

* * *

Śmiejesz się do mnie uśmiechem cudnych, szkarłatnych usteczek. Świecisz teraz, płoniesz całem ciałem, na którem grają melodję kolorów światełka liljowe, żółte, niebieskie...

Później rozkosznie wyciągasz ku mnie ramiona i kładziesz mi na włosy dwie róże.

Podnosisz najdroższą głowę ku mojej i w nagrodę za ową bajkę o Pięknie i Smutku — wsysasz się długo brzoskwiniami swych warg w szkarłat ust moich. Czujesz przyspieszone bicie serca mego na swojej piersi, a kiedy moje ramiona owijają twe smukłe ciało, drżysz cała...

* * *

W wyczerpaniu spoczywa teraz twa głowa na mojem ramieniu. Czemu takie smutne oczęta? Dlaczego serce płacze? — pytam, dotykając głową twej jasnowłosej główki. Wtedy wznosisz swe cudne oczy ku moim oczom i mówisz tak cicho, że zaledwie słyszę szmer twych słów. Mówisz mi o Miłości...

* * *

Czystym, nieskazitelnym rysunkiem odcina się linja twego ciała.

Śpisz spokojnie. Miarowym oddechem unoszą się małe piersi, a rozchylone usteczka czerwienią się, jak owe płatki róż, rozsiane twą ręką na białych skórach.

* * *

Kiedy ranek rozproszy ciemnie i gdy gwiazdy zwolna nikną na niebie — odchodzę od ciebie, jedyna. Nie przerywam ci snu. Ostrożnie, na palcach podchodzę, całuję twą skroń, a później rzucam w milczeniu prośbę: śnij o mnie.

Szybko przebiegam ścieżkę, wiodącą nad morski brzeg wijącą się między piramidami zielonych cyprysów, grupami drzew oliwkowych i tuji. Najczystszym srebrem opalizuje woda w małej zatoce, gdzie czeka mój kanak i moi caïdii. Owiewa twarz chłodny powiew wiatru od wschodu — ostatnie światła gasną już na tamtym brzegu — robi się coraz jaśniej, jaśniej...

Unoszę z sobą na włosach dotyk twych aksamitnych rąk, a na ustach wiew twych pocałunków.

* * *

Znowu bezszelestnie płynie kanak. Coraz dalej i dalej usuwa się tamten brzeg, gdzie błyszczy teraz w nieśmiałych promieniach porannego słońca biała fasada willi. Na białem tle marmuru widać chiński lampionik, zapalony twoją ręką, dziewczyno z bajki, który powoli, powoli znika mi z oczu.

Na wschodzie morze goreje płomieniami, na których łuska wody drży najczystszym, lśniącym połyskiem szkarłatu.

Cała cieśnina tonie w ulewie tych czerwonych płomieni, które wznosząc się coraz wyżej, zalewają gaje nadbrzeżne i białe mury domów i pałace i wysokie wieżyce świątyń.

Wreszcie ów płomienny deszcz promieni wybiega poza linję wody i uderza w oba brzegi pożarem, krwistą łuną, ogniem.

Morze i brzegi goreją od słońca.

* * *

Może pieściłem cię już nieraz, dziewczyno moja z nad szafirowej cieśniny. Może już dawniej tuliłem w taką noc z bajki twe różowe ciało i pieściłem twe usta. Ktokolwiek byłaś dziewczyno, której serce biło w ową noc rozkoszy, potężniej niż inne serca — nie rozpaczaj po chwili straconego szczęścia. Ty wiesz, że miłość nasza to wieczność.

Czyż pamiętasz, kiedy po raz pierwszy w taką noc właśnie, jak ta, księżyc osrebrzył nasz pierwszy pocałunek, a wiatr z nad morza przyniósł wszystkie zapachy róż i tuji.

Czy pamiętasz?.. wiesz jednak, że już to było, napewno było kiedyś...

Ktokolwiek byłem tamtego czasu — nie wiem. Wiesz jednak, że w taką noc leżałem zawsze u stóp twoich...

Teraz odchodzę od ciebie, lecz przyjdę...

Ty wiesz, że mimo wszystko kiedyś wrócę napewno.

WELL

U SCHYŁKU SEZONU.



Budzę się, o dziwo... sama. Nie znaczy to bynajmniej, abym miała zwyczaj budzenia się w towarzystwie! Tylko przywykłam, że w karnawale budziły mnie telefony. Przeważnie z pretensjami. Panie z tęczowego krzyża robiły mi wyrzuty, że o dancingu pomarańczowej latarni pisałam o wiele bardziej wyczerpująco, niż o ich tańczących pączkach. Firma X skarżyła się gorzko, iż w sprawozdaniu z balu wykwintu opisałam niemal wyłącznie toalety z firmy Y. Coprawda firma Y twierdziła, że było odwrotnie i żywiła do mnie o to żal również nieutulony. Dyrektorowa Modnicka telefonowała z oburzeniem, że zapomniałam o jej wspaniałej toalecie, która zrobiła taką furorę na balu paralityków, a mama Bajdurkiewiczowa żądała kategorycznie, abym stwierdziła drukiem, że jej «Zosieńka miała suknię piękną i szlachetną, jak ona sama». Nawet panna Takakura, statystka z Kociego Oka, w niewiadomych celach symulująca japonkę, napominała mnie surowo za to, że zapomniałam nadmienić, iż toaletę nagrodzoną na balu ekscentrycznych krynolin demonstrowała właśnie ona (Takakura).

Tak bywało co rano, takiej treści rozmowy płoszyły mój dobrze zasłużony, po ciężko przenudzonej na balu nocy, sen. Ale dziś cisza, obudziłam się sama, dziwnie wypoczęta. W pokoju nie znać pobalowego nieładu, żadna balowa suknia nie poniewiera się, porzucona w niewygodnej pozycji na otomanie lub poręczy fotela, nie widać brokatowych pantofelków, ani jasnych, jedwabnych pończoch, rozrzuconych na dywanie. Czyżbym wczoraj nigdzie nie była? Dzwonię:

— Marysiu, jaki dziś dzień?

— No przecie środa popielcowa — odpowiada, szczerząc zęby, nadwiślańska subretka.

O rozkoszy! więc już po karnawale. Żadnych bali, żadnych posiedzeń, żadnych sprawozdań... uff! Ostry dzwonek telefonu brutalnie przerywa rozkoszną idyllę.

— Co to może być? Chyba omyłka, a może telefonują z redakcji?

Biorę słuchawkę pełna lęku i trwogi.

— Hallo, to ja, Lala.

— Jak się masz, kochanie?

— Wybornie. Jestem od niepamiętnych czasów poraz pierwszy wyspana. Właśnie chciałam ci zaproponować, żebyśmy gdzieś poszły potańczyć.

— Pootaaaańczyć?! W środę popielcową!!!

— Noo... to może niekoniecznie dziś. Ale w każdym razie w tym tygodniu.

— Nie wytańczyłaś się w karnawale?

— Ale skąd? Tamto, to był taniec filantropijny, nudny, z obowiązku, zawsze na jakiś wzniosły cel.

— A teraz?

— A w poście taniec nabiera uroku zakazanego owocu. Tańczy się wprawdzie niezupełnie konspiracyjnie, bo na publicznym dancingu w którejś restauracji, ale, gdy się zobaczy nudnych znajomych, można udać, że się ich nie widzi, więc poniekąd zachowuje się incognito. A jak będą obrażeni i zgorszeni, to na liście znajomych będziemy miały trochę mniej dobroczynnych dam i gorszących się mam. Ubędzie nam nieco towarzyskiego balastu.

Trzeba przyznać, że Lala umie dobierać argumentów szczególnie przekonywujących.

— Ale czemu tańczyć zaraz w pierwszym tygodniu — próbowałam jeszcze oponować — mamy przecież cały długi post przed sobą.

— Cały post!? Co ty gadasz? Już w drugim tygodniu zaczynają się rauty dobroczynne. Mam po dwa do trzech zaproszeń na każdy wieczór. Stowarzyszenie matron polskich urządza wieczór z bardzo zajmującym programem. Będą na estradzie tańce kwiatów i tańce motyli, mrówek czy pcheł, czy czegoś w tym rodzaju. Ale ponieważ w poście nie wypada tańczyć, będzie się to na afiszach nazywało rytmiką. Wiem nawet, że polskie matrony bardzo liczą na ciebie, że im będziesz pomocna w zastosowaniu długości sukien i głębokości dekoltów tańczących panienek.

Jęknęłam głucho. Więc nigdy, już nigdy nie będzie mi sądzonem zaznać spokoju. Wtem błysnęła myśl zbawcza:

— Słuchaj Lalu — rzekłam z determinacją — jaki jest w Warszawie najnieprzyzwoitszy dancing?

— Tego nie wiem, ale kuzynek Staś wie z pewnością.

— A najnieprzyzwoitszy taniec? — pytałam gorączkowo.

— Polonia!... Nie, chyba nie. To również Staś będzie wiedział.

— Więc przyślij mi tego Stasia z płytą nieprzyzwoitego tańca. Nakręcimy gramofon i niech mnie uczy. A wieczorem pojedziemy do najnieprzyzwoitszego lokalu, będziemy tańczyć najnieprzyzwoitsze tańce i postaramy się, żeby nas wszyscy widzieli. Może wtedy nareszcie polskie matrony

raczą wreszcie uznać, że jesteśmy niestosownem towarzystwem dla ich niewinnych córeczek.

— Zgoda, wypożyczę ci mego Stasia, choć nie wierzę, aby się to na co zdało. Polskie matrony nie chodzą do dancingów, a jeżeli im to na rękę, umieją nie dać wiary plotkom. W każdym razie usługa za usługę — pójdziesz ze mną do krawcowej.

— To lichwa, zadowolnij się wywiadem telefonicznym. O co ci właściwie chodzi?

— O wszystko i o nic. Poprostu nie mogę znieść żadnej z sukien, w których bywałam w karnawale. A przecież w czemś tańczyć muszę. Więc co mam sobie sprawić?

— Czarną suknię. Modny kolor i bardzo odpowiedni na post.

— Tak, ale już tyle się go widziało w karnawale. Jaki jest inny najmodniejszy kolor?

— Najmodniejszego koloru obecnie niema. Modne są równorzędnie: rouge persan i bleu Patou. Biały i różowy, migdałowy i rezedowy. Modny jest granatowy przybrany ponsowym, modny jest szaro-zielony (Vert de gris) i rdzawy. Jeżeli chcesz zaryzykować, spraw sobie toaletę fioletową, powiadają ludzie w tych sprawach biegli, że może to być kolor najmodniejszy na wiosnę.



— A fason?

— Masz dobrą figurę, więc spraw sobie suknię princesse, suto skloszowaną i znacznie wydłużoną do tyłu. Dekolt dyskretny, symetryczny. Jeżeli chcesz, żeby ci ta sama suknia mogła służyć po południu, każ do niej zrobić zapasowe wszywane rękawy i szalik na szyję.

— A wiesz, że to genjalna myśl. Ale poradź mi jeszcze coś na sukienkę przedpołudniową. Wiesz taką do kawiarni, albo na posiedzenia.

— Nie wymawiaj przy mnie tego słowa.

— Nie miałam bynajmniej na myśli posiedzenia dobroczynnego, chciałam powiedzieć poprostu: posiedzenie u znajomych.

— To mów: wizyty.

— Kiedy właśnie chodzi mi o taką sukienkę bezceremonjalną.

— No, więc kup sobie jakiejś lekkiej wełny, niekoniecznie kasha, bo to się już opatrzyło. Jest taka czepella, wiesz. Może być koloru bordeaux, to nie szablonowe i ożywia cerę. A wszystkie tego potrzebujemy po pracowitym karnawale.

— Czy robić ją wydłużoną do tyłu?

— Nnnie, lepiej nie. To brzydko wygląda z pod palta. Ale zrób całą o kilka dobrych centymetrów dłuższą, niż twoje suknie jesienne. Jeszcze niewiadomo co będzie, ale wyczuwa się w powietrzu ogólną tendencję podłużania sukien.

— Pycha, to zrobię sobie i kapelusz bordeaux. Widziałam filce w tym kolorze. Będzie mi do twarzy.

— Z pewnością. Ale wiesz, że ostatnie modele kapeluszy filcowych są przybrane słomą. Uważam, że to bardzo ładnie ze strony Pani Mody, iż w ten sposób w najsroższe mrozy lutowe pociesza nas myślą o wiośnie.

— Rzeczywiście. Ale, à propos wiosny, nie wiesz, jakie będą nowości wiosenne?

— Tak zupełnie pewnie to jeszcze nie wiem, ale coś niecoś słyszałam. Będą modne kostjumy jedwabne, taftowe i z crêpe satin. Wrócą do łaski tkaniny wzorzyste, powiewne żorżety i szyfony. Suknie będą coraz szersze, kapelusze odzyskują ronda.

— Baj baju...

— Ależ z pewnością tak. Tak przecie bywało co wiosny.

— Nie, nie chcę proroctw, powiedz mi jakąś zasadniczą zmianę, ale jakiś pewnik niezbity.

— A więc dobrze: modne są ciemne pończoszki.

— Nie mo...

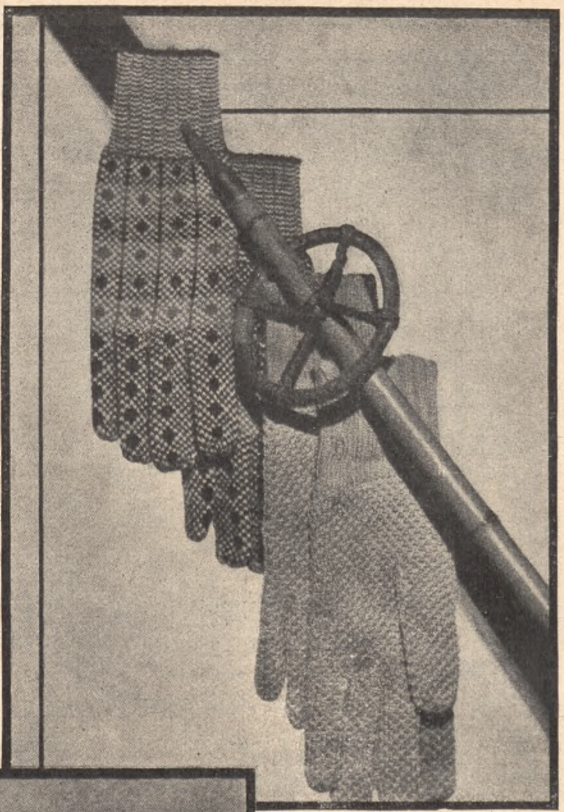
I tu nam przerwano. Jakaś wysoce antypatyczna telefonistka oznajmiła impertynencko, że nie wolno tak długo rozmawiać. Odpowiedziałam jej z oburzeniem, że to jest ograniczanie wolności osobistej polskich obywateli. Swoją drogą nie mam już ochoty na dalszą rozmowę z Lalą. Ach, żeby to móc gdzie wyjechać z tej Warszawy, albo z Polski wogóle.

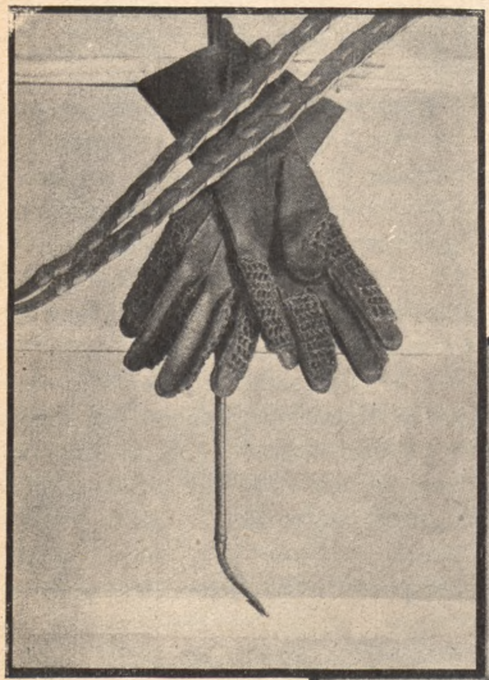


W. Ż.

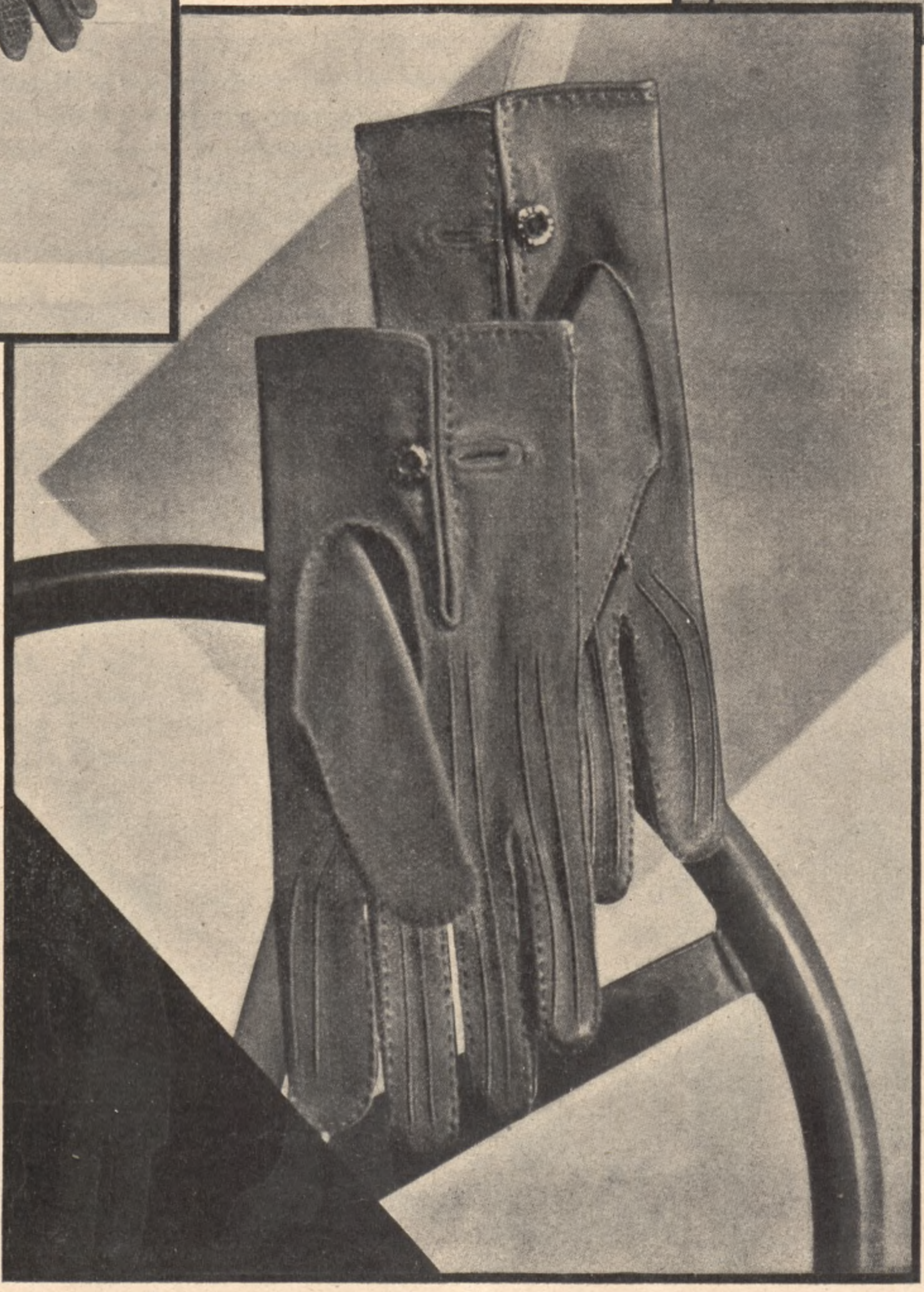
RĘKAWICZKI

Maluchne, pachnące zmysłowym a dyskretnym zapachem Chanel IV, cacko z aksamitnego zamszu, jeszcze ciepłe, jeszcze zachowujące kształt pięknej rączki, którą obejmowały przed chwilą... i wielkie, niezgrabne, ociekające krwią z rozbitego nosa przeciwnika, rękawice bokserskie — cóż jest między niemi wspólnego? A przecież i to i to — rękawiczki. Tak, ale pierwsze są kobiece, urocze, miękkie, nietrwałe jak kobiecość sama, a te drugie to męskość, wyrażona w całej swej brutalnej sile.





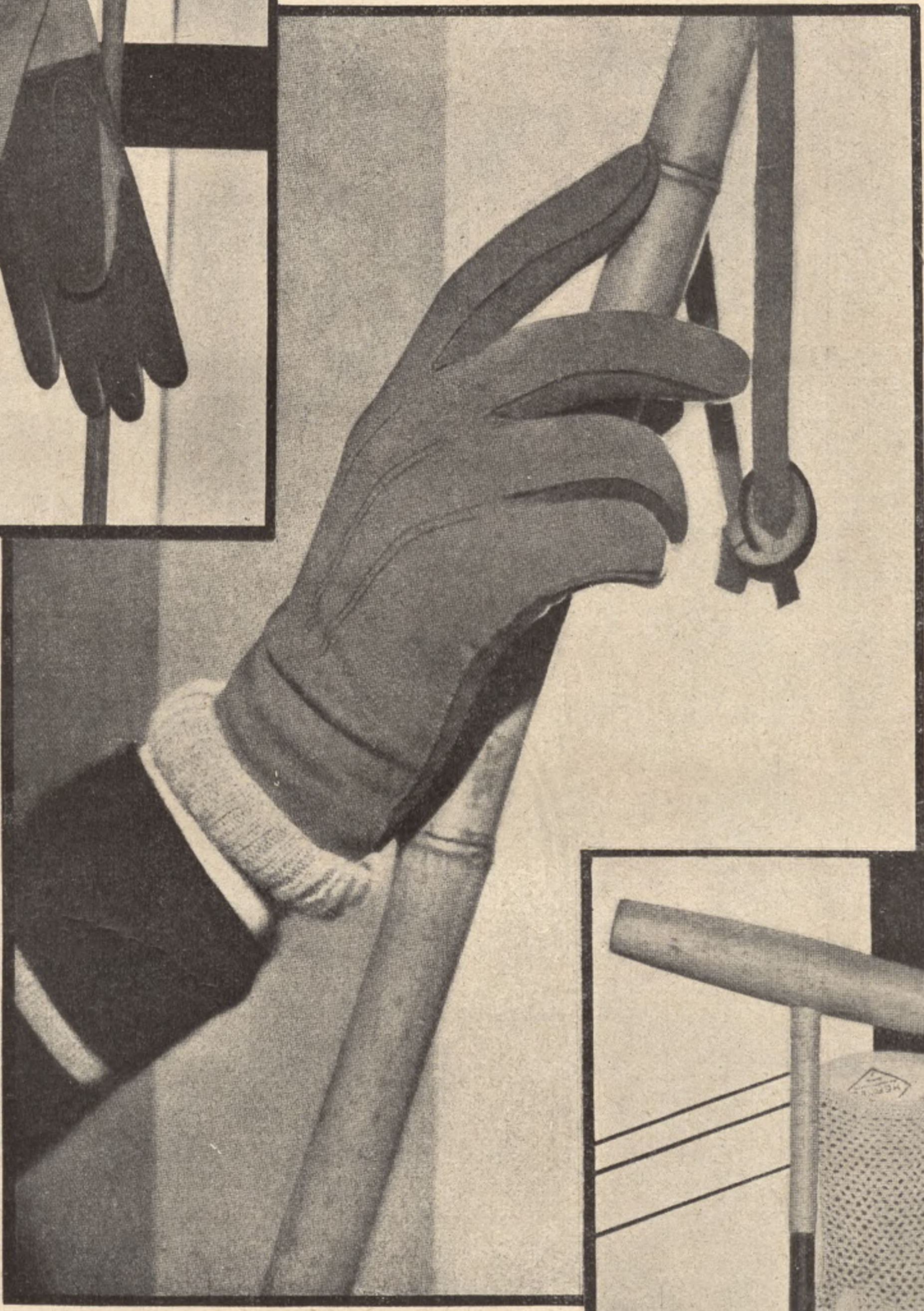
Lecz i wśród rękawiczek używanych przez płeć piękną rozmaitość jest ogromna i łacno po rękawiczce określić charakter pięknej pani. Inną musiała być rękawiczka panny Dorange, niestrudzonej amazonki, nie schodzącej po kilkanaście godzin z ulubionego rumaka,

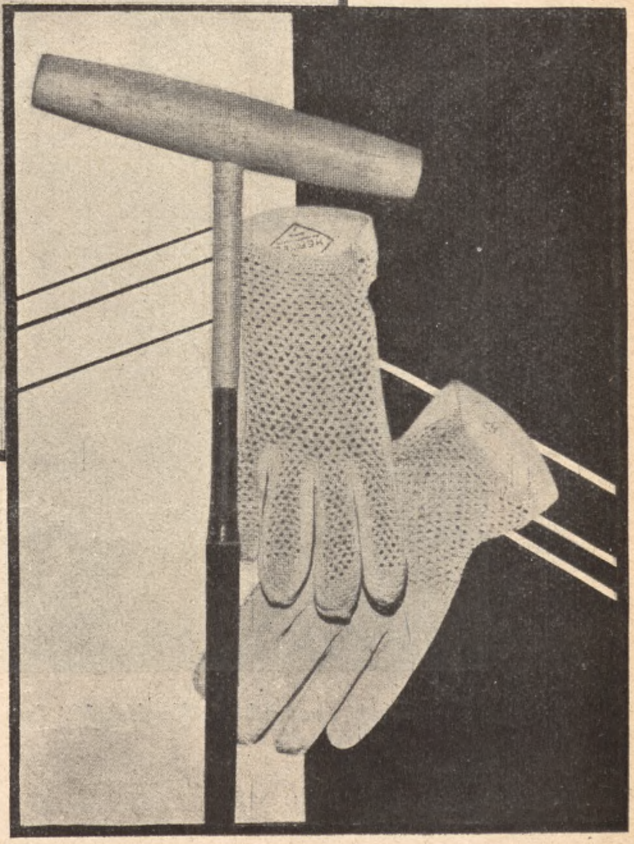


z którym zdawała się być zrośnięta, niż rękawiczka wytwornej pani, trawiącej czas na stroju i zabawie. W rękawiczce sportsmenki uwzględniono przedewszystkiem praktyczną stronę, doskonały gatunek skóry, moc szwów, rozmiar dobrano tak, by nie uwierał i nie męczył energicznej dłoni trzymającej uzdę konia lub kierownicy samochodu. Rękawiczka strojnej pani musi być przedewszystkiem ładna. Trwałości nikt od niej nie wymaga i tak przecie wcześniej sprzykrzy się, niż się zniszczy. Jest jasna, aby odrazu świadczyć o tem, że nie bywa często wkładana, że urocza tej rękawiczki właścicielka wiele podobnych posiada w swej bogatej garderobie. Często bywa za mała, gdyż pani równie próżna jak piękna chciałaby się numerkiem jeszcze mniejszym niż jej rączka poszczycić.

Lecz nawet rękawiczki strojnych dam świadczą wymownie o różnicach w usposobieniu. Pani wybredna o gustach wyszukanych i do zaspokojenia trudnych dobierze rękawiczki migdałowe lub perłowe, do sukni i pantofelków w tym samym odcieniu. Inna, lubiąca efekty krzykliwe a tanie, ozdobi wysoki mankiet wciąganej rękawiczki jaskrawym haftem lub liworyzacją. Osoba







o gustach spokojnych, lubiąca dystyngowaną we wszystkiem elegancję, wbrew zmiennym prądom wody, pozostaje wierną klasycznym, nieposzlakowanie białym rękawiczkom glacées zapinanym na guziczki z perłowej masy.

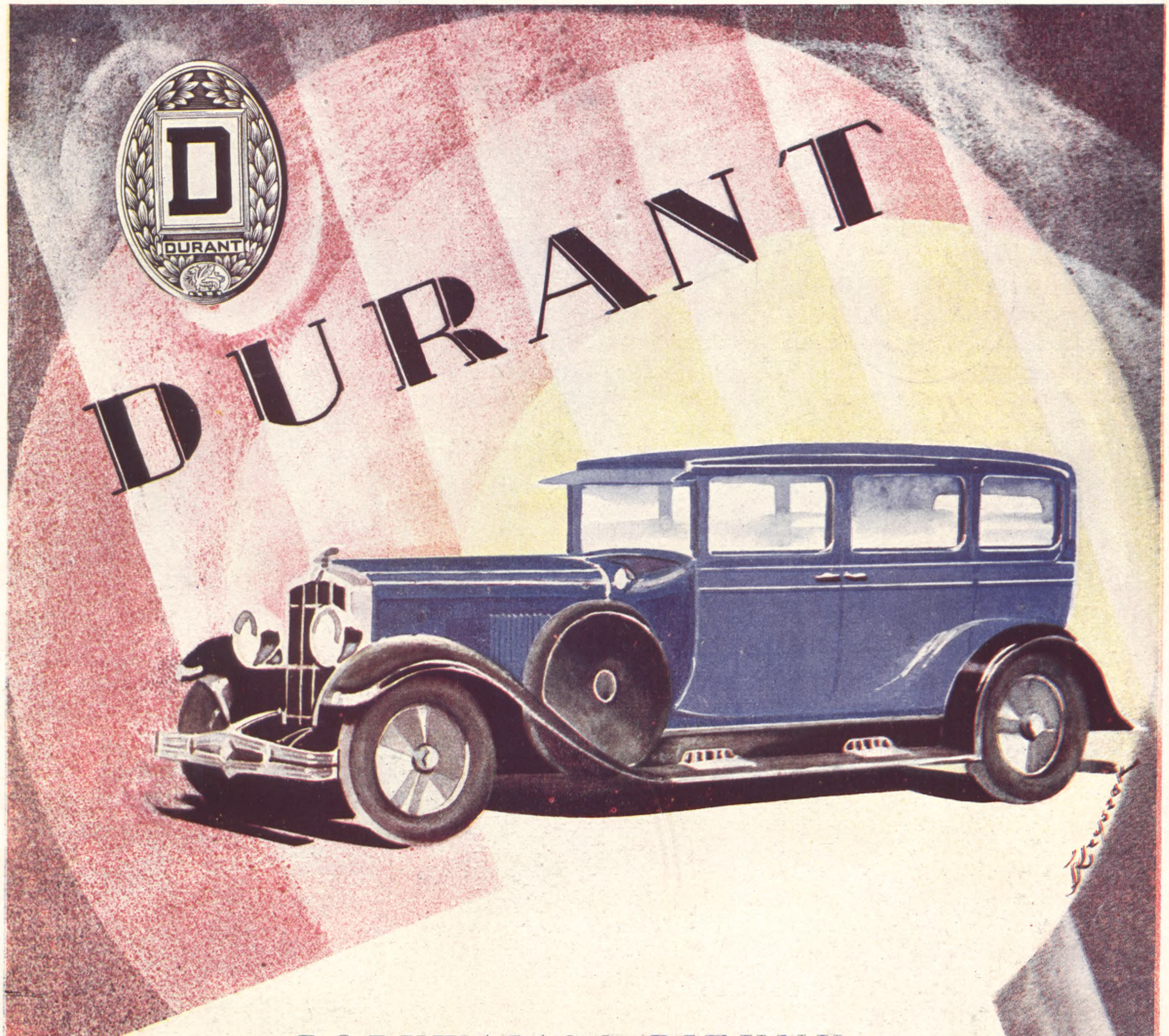
Pani kapryśna często daje odczuć zmienne swe humory niewinnym rękawiczkom, to też często bywają one przedarte lub pozbawione zapięcia. Pani oszczędna, lub tylko niezamożna starannie reperuje swoje rękawiczki i pierze je sama w benzynie.

To też zapach benzyny był do niedawna niezawodnym zapachem cnoty, dopóki rozpowszechniająca się moda automobilizmu nie nadała mu charakteru sportowego. Równocześnie wprowadzono gatunek rękawiczek piorący się w wodzie, to też obecnie ubóstwo połączone z cnotą pachnie czasem mydłem. Jest to stanowczo zmiana na lepsze.

Żałować należy, że zupełnie niemal wyszły z użytku rękawiczki balowe. Ze względów estetycznych, gdyż miękka, biała skórka białej rękawiczki o wiele ładniej wyglądała niż obnażone, pokryte gęsią skórką i sinawe z zimna ramię. To jeżeli jest zimno na sali. A jeżeli jest gorąco, to tem bardziej należy żałować nieobecności rękawiczek ze względów praktycznych. Spocone palce tancerzy zostawiają dokładne odbitki daktyloskopiczne na jasnym jedwabiu, lub aksamicie wieczorowej toalety. Zwłaszcza najmodniejsze gatunki aksamitów błyszczących i powiewnych są na dotyk szczególnie wrażliwe. Stąd zapewne mądra tendencja do coraz to głębszych dekoltów z tyłu. Ostatecznie prędzej i taniej jest wziąść samej wannę, niż posyłać suknię do chemicznej pralni. No nie?



Dwaj „gwiazdory", Krukowski i Jarosy, prezentują na rewji mody wykwintne futra firmy Apfelbaum



PORYWAJĄCO PIĘKNY...

Harmonja linji i barw; nerw, temperament – one rozniosły sławę
– – – – Duranta „80" na cały świat... – – – –
Siła – moc – pewność działania, a nadewszystko „double prise directe" (3-a i 4-a szybkość bezpośrednia) – czynią prawdziwym
– – – – – – władcą przestrzeni... – – – – – –
Kto wymaga od samochodu czegoś więcej ponad środek lokomo- – – cji – powinien zażądać demonstracji Duranta „80". – –

JENERALNI PRZEDSTAWICIELE

BRACIA PIOTR i STEFAN BERGMAN

INŻYNIEROWIE

WARSZAWA	KRAKÓW
UL. MARSZAŁKOWSKA 154	UL. MIKOŁAJSKA 6
TEL. 272-74	TEL. 13-93

«1000 PIĘKNYCH DZIEWCZĄT»,

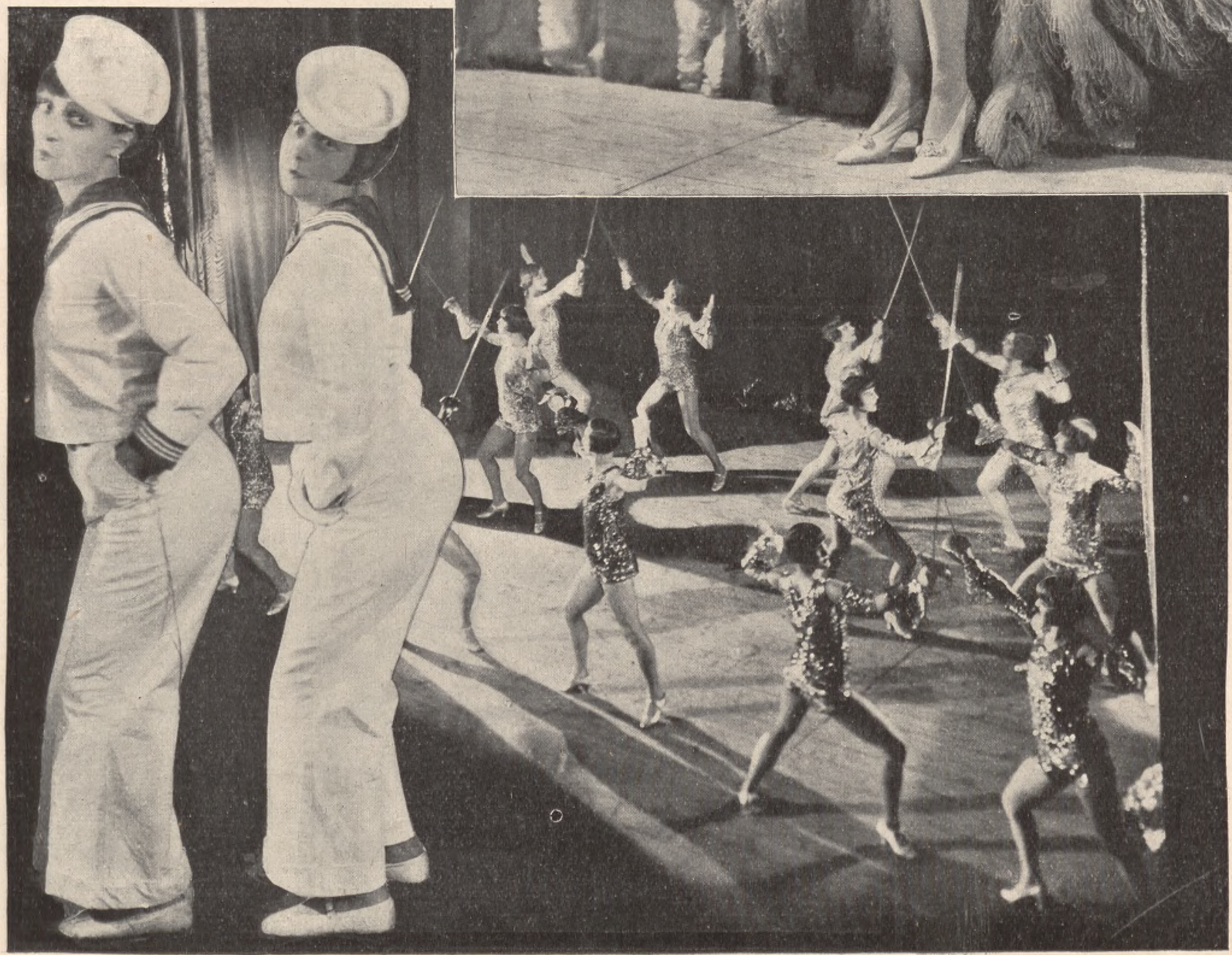
kilka scen z efektownej rewji w teatrze «Morskie Oko».

„Złota pantera" – „Wachlarz ze strusich piór" – „Parodja Rapellersów" – „Pojedynek".

Fot St. Brzozowski







ECHA MIĘDZY
ZAWODÓW
W ZAKO





Mistrzyni Bronka Staszel-Polankowa zwycięża w biegu pań



NARODOWYCH
NARCIARSKICH ·
PANEM





Bronek Czech, najlepszy narciarz środkowej Europy



Fot. Schabenbeck

JACK TENESSEE



TAJEMNICZY SZAFIR



Przedkład autoryzowany J. Krcsuckiej

„Czy ten szafir prawdziwy?" zapytał.

„Nie mam pojęcia", odparła z lękliwym uśmieszkiem. Młoda, piękna węgierka o jasnej cerze i dużych błękitnych oczach, ubrana była skromnie, lecz elegancko. Przyszła do jednego z nowojorskich jubilerów, ofiarując mu oryginalny klejnot; był to naszyjnik, duży, granatowy kamień otoczony djamentami. Specjalnie niezwykły okaz stanowiła inkrustowana srebrna oprawa. Jubiler zdradzał wielkie zainteresowanie.

„Jak dawno ma to pani?" indagował.

„Zaledwie pięć miesięcy", rzekła, „ale w rodzinie mej naszyjnik ten był oddawna. Jest już bardzo stary".

„Tak, to prawda", — oglądał go teraz przez powiększające szkło. „Djamenty napewno są prawdziwe, oprawa również, stara robota florencka".

„Tak, tak. Okaz wyjątkowo ładny", dodała z zapałem.

„Wartość zależna jest od samego szafira", ciągnął dalej. „Jest to największy szafir, jaki widziałem w ciągu lat ostatnich i byłby wart sporo, gdyby był prawdziwy. Twierdzi pani, że nic mi pani o nim nie może powiedzieć?"

„Wiem tylko", szepnęła, „że jedni uważali go za prawdziwy, inni znów twierdzili, że to imitacja".

„Czy mogłaby pani przedstawić dowód, że klejnot ten należy do niej?"

„Tak - tak, mam tu dokument". Położyła przed nim zaświadczenie z Budapesztu, podpisane przez amerykańskiego konsula. Przeczytał papier uważnie, poczem spojrzał głęboko w błękitne jej oczy.

„Pragnie pani to sprzedać z powodu braku pieniędzy, nieprawdaż?"

„Tak", odparła miękkim głosem, „cały mój pobyt w Ameryce zależny jest od wartości tego szafira".

Uśmiechnął się przyjaźnie.

„Proszę się nie obawiać", rzekł. „Jeżeli szafir byłby nawet imitacją, to i tak przedstawia dość dużą wartość. Może mi pani zechce go zostawić na tydzień, abym mógł naradzić się z fachowcami".

W ciągu następnych kilku dni biegał z szafirem po wszystkich większych magazynach jubilerskich na Fifth Avenue i Maiden Lane. Niektórzy rzeczoznawcy uważali, że kamień jest prawdziwy, inni znów upierali się, że imitacja. Wreszcie tajemniczy szafir znalazł się u najsłynniejszego nowojorskiego znawcy drogich kamieni. Po trzydniowej ustawicznej obserwacji znawca zaintrygowany był bardziej jeszcze. Pewien był, że srebrna oprawa pochodziła z piętnastego wieku z Florencji, a w owych czasach florentczycy nie byli świetnymi znawcami drogich kamieni. Po kilku dniach wreszcie szafir powędrował zpowrotem do pierwszego jubilera, a gdy młoda węgierka zjawiła się nazajutrz, powtórzył jej on podzielone zdania rzeczoznawców co do drogocennego klejnotu.

Widząc, ile kłopotu sprawiła poczciwemu jubilerowi i chcąc pogłębić jego zainteresowanie szafirem, postanowiła opowiedzieć niedługą historyjkę, związaną ściśle z pochodzeniem tajemniczego kamienia.

„Dostałam go w tym roku", zaczęła, „od starej niańki na kilka dni przed opuszczeniem rodzinnego domu. Ciężkie czasy nastały po wojnie. Ojciec mój i bracia padli, a matka też niedawno umarła. Pozostawszy zupełnie sama, postanowiłam opuścić rodzinny nasz zamek i wyjechać do New-Yorku, gdzie mieszka garstka moich przyjaciół. Niestety byłam bardzo biedna. Nazajutrz po śmierci mej matki, stara niańka Shari przyniosła mi szafir; nigdy nie widziałam go dotychczas".

„Niegdyś należał on do twojej babki", rzekła. „Powierzono mi go przed wielu laty w chwili gdy wielkie nieszczęście nawiedziło ten dom. Obecnie klejnot ten może ci ułatwić życie w Ameryce.

„Siedziałyśmy dość długo obydwie w mrocznej komnacie, w której paliły się tylko dwie świece, bowiem do lampy zabrakło nam nafty. Shari opowiadała mi o dawnych minionych latach, kiedy to ona była jeszcze piękną, młodą dziewczyną, córką jednego z fornali w majątku mego dziadka i babka moja, księżna Marishka, dopiero co przez dziadka poślubiona wzięła ją do siebie jako garderobianą. Babka moja miała wówczas lat dziewiętnaście i była śliczną brunetką, o niezwykłym temperamencie i wielkich błękitnych oczach; według słów starej Shari, śmiechem swym księżna mogła cały świat zawojować. Dziadek mój, książe Miklos Beleky był zaledwie o pięć lat starszy od swej żony, wysoki dobrze zbudowany mężczyzna, o gęstej ciemno-blond czuprynie i poczciwych śmiejących się oczach, nie zdradzających nigdy głęboko ukrytych namiętności. Nigdy nie tęsknił za życiem miejskiem, ale ponieważ bardzo kochał swoją młodą żonę, uległ jej namowom i wyjechali obydwoje do Paryża, aby spędzić tam miodowe miesiące. Oczywiście wystawne życie w stolicy świata pochłonęło lwią część majątku młodej pary.

„Wreszcie oboje wrócili na Węgry. Zamek nasz odnowiono i pięknie umeblowano na przyjęcie młodziutkiej księżnej, co również nadwyrężyło nieco kapitał obrotowy majątku; zawiadomił o tem mego dziadka stary plenipotent wkrótce po powrocie książęcej pary z Paryża. Młody książę Miklos postanowił poświęcić się odtąd pracy na roli; nie było to zresztą połączone ze specjalnem poświęceniem, bowiem dziadek mój przechował w swej duszy tradycyjne przywiązanie do rodzinnej posiadłości książąt Beleky. Czuł się nawet szczęśliwym, że był tu znowu, i wszystkie wolne chwile od przebywania w towarzystwie młodej swej żony przepędzał na siodle, bądź w polu, bądź w lesie.

„Ale samotne życie w zamku poczęło coraz bardziej nużyć młodziutką księżnę Marishę. Z początku bawiły ją jeszcze przywiezione z Paryża toalety, ubierała je często, aby zadowolnić zakochanego w niej do szaleństwa księcia. Potem urodziła córeczkę, która znowu przez rok była główną atrakcją jej życia. A potem nastała straszliwa tęsknota za Wiedniem. Księżna pragnęła przepędzić sezon zimowy na dworze cesarskim. Dziadek mój, zapracowany od świtu do nocy, błagał ją, aby zaczekała jeszcze trochę

cierpliwie, a wówczas znowu pojadą razem. Ustępując jego prośbie, postanowiła czekać jeszcze rok jeden.

„Pewnego dnia przyjechał w odwiedziny kuzyn księżnej, książę Aldar; starszy nieco od księcia Miklosa, wiecznie uśmiechnięty i wesoły. „O, — twierdziła Shari, — wszelkie radości życia koncentrowały się w tym człowieku! Jasny wyraz oczu jego harmonizował świetnie ze srebrzystym śmiechem mej pani!" Kuzyn nie odstępował księżny ani na chwilę, wówczas gdy mąż jej całe dni prawie przebywał w polu i na folwarku. Całymi dniami grał książę Aldar walce wiedeńskie, co upajało księżnę Marishkę i potęgowało tęsknotę jej za Wiedniem.

„Odwracając się ku niej na wysokim, kręconym fotelu, rozkoszny kuzyn opowiadał jej niestworzone dziwy o balach na cesarskim dworze, o przedstawieniach galowych w Operze i o szeregu miłosnych intryg, o których mówiła ostatnio cała niemal arystokracja stolicy. Wesołym błyskom, zapalającym się w jego oczach, odpowiadał srebrzysty śmiech pięknej kuzynki. Potem znowu zaczynał grać tęskne, kuszące melodje, a ona, spoglądając przez okno w mrok zapadającego wieczoru, z dreszczem lęku myślała o zbliżającej się zimie, którą miała znowu przepędzić w tem odludziu. I znowu rozpoczynały się błagania dziadka mego, aby pozwolił jej wyjechać i rozerwać się nieco; wreszcie po długich i uciążliwych prośbach książę Miklos zgodził się na wyjazd żony do Wiednia, gdzie przepędzić miała sezon zimowy. Wraz z Shari, dzieckiem i kuzynem udali się do stolicy wielkiemi saniami, zaprzężonemi w czwórkę karych rumaków. Shari ogarniał wielki niepokój, gdy patrzała na wesołe twarze tych dwojga; tylko książę Miklos przez cały czas trzydniowej podróży był dziwnie posępny i milczący.

„Zaraz po przyjeździe do Wiednia, księżna Marishka wpadła w zły humor, bowiem pałacyk jej męża wydał jej się dziwnie stary i opuszczony. Po długich i kosztownych naprawach, salony księżny napełniły się przyjaciółmi i znajomymi jej kuzyna, a ona, niby wielki, barwny motyl, uwijała się między nimi, podziwiana przez wszystkich i uwielbiana. Wkrótce więc obwołano ją królową wiedeńskich salonów, szepcząc sobie do ucha z uznaniem: „Ta piękność musi pochodzić z Budapesztu". Istotnie Budapeszt był rodzinnem miastem księżny Marishki. Pięknością swą wzbudzała zazdrość niewiast, mężczyźni zaś otaczali ją coraz liczniej, nie szczędząc głośnych pochwał i zachwytów! A ona się ciągle śmiała!

„Takiego śmiechu nigdy przedtem nie słyszano na świecie" — utrzymuje Shari.

„Gdziekolwiek udała się piękna księżna, wszędzie książę Aldar był u jej boku, a młody książę Miklos, kochając do szaleństwa swą żonę, w milczeniu szedł tuż za nimi, nie marząc nawet o tem, aby ona zechciała wyrzec się tego wszystkiego i wrócić do cichego życia w wiejskiej posiadłości. Jednakże pieniądze topniały z dnia na dzień i książę Miklos nie widział żadnego wyjścia. Miał zaledwie lat dwadzieścia pięć i na dworze cesarskim nie posiadał absolutnie żadnych stosunków. Aż pewnego razu przyszedł doń książę Aldar i rzekł z przyjaznym uśmiechem:

„Nie martw się, pozostaw to zwolennikom handlu. Pozwól pożyczyć sobie sumę, jaka ci jest potrzebna w tej chwili, i przyjmij posadę państwową".

„Dziadek mój niechętnie przystał na tę propozycję, bowiem szalenie był o kuzyna zazdrosny, lecz kochając namiętnie żonę, nie mógł odmówić jej przepędzenia sezonu zimowego w Wiedniu. „I tak już długo nie potrwa" — pocieszał sam siebie. Wziął więc pieniądze od jej kuzyna, przyjął posadę rządową i począł się przyzwyczajać do nowej swej pracy. Najbardziej denerwowało go to, że każdego wieczora zastawał księcia Aldar'a przy boku swej żony. Poza tem od współzawodniczących z księżną niewiast słyszał ciągle niewinne napozór ploteczki, co potęgowało jeszcze szaleńczą jego zazdrość.

„Shari coraz bardziej stawała się niespokojną. Wydatki wzrastały, a książę Miklos posępniał z dniem każdym; już i tak pożyczył dużo od kuzyna i odrzucił teraz ofiarowaną mu, dalszą pomoc. Żył w ciągłych troskach i zdenerwowaniu, aż wreszcie postanowił wyciągnąć trochę pieniędzy ze zdążającego do ruiny majątku. Zwrócił się do lichwiarzy. (C. d. na str. 31)

„I wówczas właśnie — rzekła Shari, trzymając szafir nad płomieniem świecy — klejnot ten wślizgnął się w ich życie".

„Pewnego dnia, gdy księżna siedziała jeszcze przy gotowalni, zjawił się książę Aldar; serdecznie przywitał się z nią i począł prosić z pieszczotliwym uśmiechem:

„Kochana kuzyneczko, pójdź ze mną obejrzeć przecudowny klejnot, którego barwa wspaniale harmonizować będzie z kolorem twych oczu!"

„Głębokie jej spojrzenie poweselało nagle; oczywiście, przystała chętnie na propozycję kuzyna. Zabrawszy mnie z sobą do powozu, pojechali do oddalonej żydowskiej dzielnicy Wiednia. I tam księżna zobaczyła szafir w małym sklepiku z antykami. Na widok klejnotu oczy jej pociemniały, a oddech stawał się przyśpieszony coraz bardziej w miarę, jak kupiec opowiadał historję wiekowej wędrówki naszyjnika. Był on już w pałacach i suterynach, wędrował z Florencji, Rzymu, Madrytu, Paryża hen daleko, aż po Petersburg; wędrówka ta trwała wieki całe i wreszcie znalazł się w Wiedniu. W międzyczasie uciążliwej wędrówki raz uznawano go za prawdziwy, to znów za imitację. Ze względu na podzielone zdania, kupiec żądał zań tylko tysiąc guldenów. Książę Aldar prosił kuzynkę, aby przyjęła od niego ten skromny upominek. Z początku broniła się w obawie przed mężem, lecz kuzyn począł śmiać się z jej obaw.

„Czyż nie jestem twoim kuzynem? — zapytał. — Czyż nie wolno mi ofiarować ci czegośkolwiek? Zresztą Otello może nie wiedzieć o tem wcale".

„Przekonana jego słowami i niezwykłym blaskiem szafira, zgodziła się na przyjęcie go w upominku, prosiła tylko kuzyna, aby nie zdradził jej, gdy powie mężowi, że klejnot nabyła sama.

„Od tej chwili nosiła naszyjnik ciągle, a na zazdrosne spojrzenia męża odpowiadała ze śmiechem:

„Widzisz, jaka cudowna imitacja. Nabyłam ten kamień w małym sklepiku, w dzielnicy Ghetta—ach, co za wstrętna dzielnica! Chciałam poprostu zaoszczędzić twych pieniędzy, chéri. Nie bądź zły, że kupiłam imitację; zima rychło minie i znowu powrócimy do zacisznego życia w zamku".

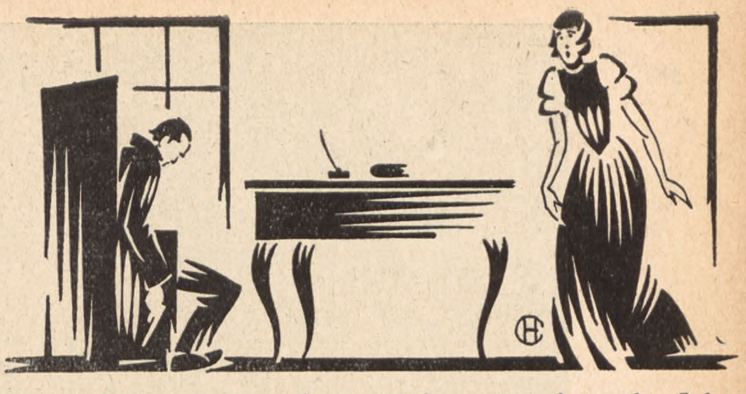
„Gdy wspomniał coś o wydatkach, którym nie jest w stanie podołać, odparła:

„Pożycz od kuzyna, chéri, przecież on ma tyle pieniędzy. Dla niego to nic nie znaczy — odwdzięczysz mu się kiedyś. Albo lepiej sprzedaj mu ten pałac, jeśli chcesz. Będziemy mogli potem z łatwością go odkupić".

„Nietrudno było go przekonać, bowiem stał już na krawędzi przepaści. Tak więc raz jeszcze wzięto pieniądze od kuzyna i piękna księżna rzuciła się znowu w wir zabaw, bo przecież niezadługo wracać miała do wiejskiego odludzia. Ile razy dostrzegła posępny cień na twarzy męża, tuliła się doń, jak dziecko, i przysięgała poprawę; za każdym razem zdobywała go nanowo. Szybko jednak zapominała o danych przyrzeczeniach; książę Aldar prowadził ją wszędzie, a wielki szafir połyskiwał na białej jej szyi. Wreszcie cały Wiedeń począł szeptać tajemniczo, że cudowny ten klejnot jest podarunkiem księcia Aldara i że nie jest wcale imitacją.

„Pogłoski te doszły wreszcie do uszu męża księżny i zazdrość jego obudziła się znowu. Od tego czasu oczy księcia rzadko spoczywały na pięknej twarzy małżonki, a tkwiły przeważnie w tajemniczym szafirze, lśniącym na jej szyi. Prawdziwy, czy imitacja? Plotki rosły. Wreszcie dziadek mój nie mógł wytrzymać dłużej. Pokryjomu zaniósł naszyjnik do słynnego jubilera, który orzekł, że szafir jest prawdziwy i przedstawia wartość dwudziestu tysięcy guldenów.

„Zazdrość w duszy dziadka zawrzała, odchodził prawie od zmysłów! Wróciwszy do pałacu, dowiedział się, że żona wyszła w towarzystwie kuzyna. Zawołał Shari, żądając, aby go zaprowadziła do owego sklepu w dzielnicy



Ghetta. Z drżeniem w głosie niańka moja odmówiła. Jakże wiejska dziewczyna trafi do małego sklepiku w wielkiem mieście? Książę Miklos wybiegł do stajni, gdzie mu powiedziano, że księżna pojechała owego dnia do dzielnicy żydowskiej nie swoim powozem, lecz kuzyna.

„Wówczas książę — mówiła Shari — wrócił wolnym krokiem do pałacu, trzymając wciąż szafir w ręku. Podniósł go w górę i długo się przyglądał demonicznym jego blaskom. Dziwny jego wzrok tak przeraził dziewczynę, że padła przed nim na kolana i poczęła prosić, aby uwierzył, że kamień jest fałszywy! A potem stało się coś dziwnego!... Z przyjaznym uśmiechem podniósł książę z ziemi garderobianą swej żony, złożył na jej czole pocałunek i rzekł:

„Pamiętaj o mojej córce, Shari. Postaraj się wychować ją na wsi".

„Potem wszedł do swego pokoju, zatrzasnął drzwi i Shari nic więcej już nie słyszała. O czem rozmyślał tak długo? Może o pojedynku? Lecz honor księcia nie pozwalał mu zabijać człowieka, który był jego wierzycielem. Więc zabił siebie... Shari słyszała odgłos strzału, a gdy wbiegła do pokoju, zastała już trupa, siedzącego przy biurku. Wielki szafir leżał przed nim, a tuż obok zabryzgana krwią, ćwiartka papieru ze słowami:

„Ten kamień nie jest fałszywy".

„Tej nocy, gdy Shari opowiadała mi tę historję, w pięćdziesiąt lat po śmierci mego dziadka, zapewniała mnie ona, że szafir jednakże jest tylko imitacją, bowiem babka moja nie kłamała nigdy. Po śmierci męża, którego, jak twierdzi stara moja piastunka, kochała naprawdę, straciła swój humor i temperament i wróciła do zacisznego życia w wiejskiej samotni. Poświęciła się pracy i wychowaniu córki, której posiadłość podniesioną z ruiny zostawiła. Nigdy jednak nie chciała słyszeć o tajemniczym klejnocie, który od śmierci dziadka spoczywał w kuferku Shari".

Przy końcu dziwnej swej opowieści młoda węgierka nagle urwała.

„To wszystko, co wiem — rzekła po chwili. — Chciałabym tylko być pewną, czy kamień ten jest prawdziwy".

„Nie ulega dla mnie wątpliwości — odparł jubiler — że jest to imitacja. Udało mi się wszakże znaleść amatora, który za naszyjnik ofiaruje trzy tysiące dolarów. Czy panią ta kwota zadowoli?"

„O, dziękuję panu! — porwała się z miejsca. — Przecież to szalenie dużo pieniędzy! Część sumy wyślę zaraz starej Shari!"

„A najwięcej panu jestem wdzięczna zato — dodała po chwili, — że rozwiał pan wątpliwości, które mię męczyły. Niech pan mi wierzy, że nawet gdyby ofiarował mi pan za naszyjnik trzy dolary, wolałabym otrzymać trzy dolary za imitację, niż trzysta tysięcy za prawdziwe klejnoty.

Sprawa szybko została załatwiona i uszczęśliwiona Węgierka opuściła sklep.

— — — — — — — — — — — —

„I cóż miałem począć, — zakończył jubiler, który mi opowiadał tą historję, — musiałem kłamstwem przywrócić jej szacunek dla przodków. Zresztą te szafiry, jakkolwiek prawdziwe, były warte niewiele ponad trzy tysiące dolarów.



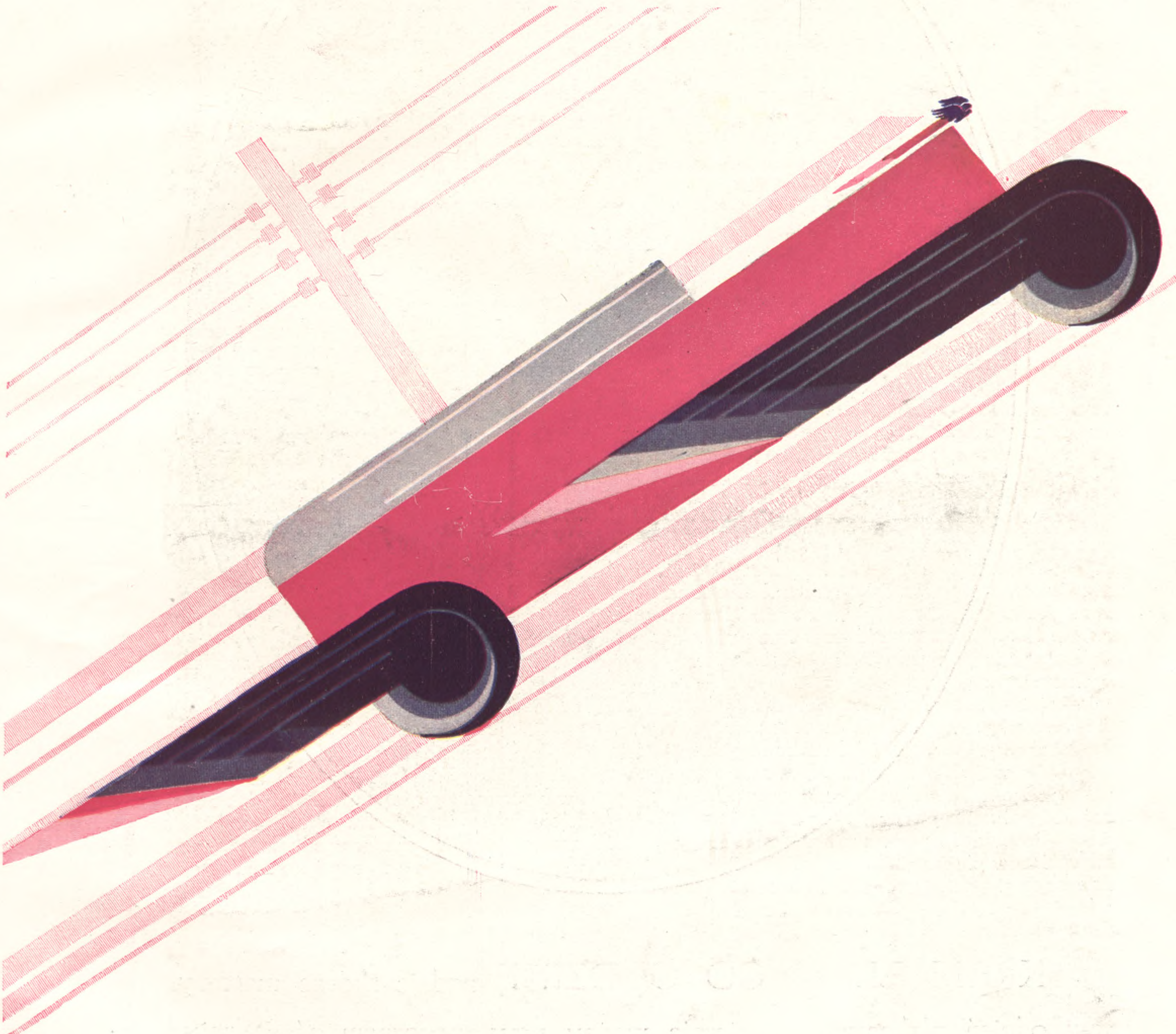
Tancerka *Fot Dorys*

Redaktor: IGNACY KOŁŁUPAJŁO. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-KA. Sp. z o. o.
Kierownictwo: Bolesław Karniszyn. Układ graficzny: art. mal. L. Chejfec.

Redakcja i Administracja: Mokotowska 26, tel. 525-85. Konto P. K. O. 16190.
Prenumerata półroczna (6 egzemplarzy) zł. 6.

Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

JEDNAKŻE CHRYSLER.....



AUTO-KONCERN

WARSZAWA, WIERZBOWA 8



KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.

Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa. Drukowano farbami Sp. Akc. Dr. Rattner, Warszawa, Emilji Plater 10.